ROK VIII. MAJ—1908 ROK. TOM V (LXXVIII).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA



Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1908.

ROK VIII. MAJ—1908 ROK. TOM V (LXXVIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska № 101.

1908.



Treść tomu majowego 1908 roku,

ogólnego zbioru LXXVIII.

ILLUSTRACYE:



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE.

(12 dużych tomów rocznie).

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Do czcigodnych i szanownych przyjaciół i prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego".

Wśród nieszczęść, które jak gromy w naród nasz uderzają, gdy płyną łzy bólu, leje się krew braterska, gdy syn staje przeciwko ojcu, podwładny przeciw panu, zbrodnia chce uchodzić za cnotę, oczy wiernych czcicieli Maryi z utęsknieniem zwracają się ku miejscu przez wieki umiłowanemu, przez wieki uświęconemu, ku Częstochowie, ku Jasnej-Górze, gdzie tron ziemski obrała sobie Matka Boska, Królowa nieba i ziemi.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **„Dzwonka Częstochowskiego"**. Również błogosławieństwa **„Dzwonkowi Częstochowskiemu"** udzielił i Ojciec Święty Pius X.

Jak ongi ojców naszych natchnione źrenice i ofiarne serca tutaj czerpały moc świętą i siłę, tak i dziś stąd, z Jasnej-Góry, spływa na nas błogosławieństwo Maryi, na całą Polskę rozpala światło świętej wiary, nadziei i miłości. Więc jakże nie kochać mamy Matki Boskiej Częstochowskiej, jak nie czcić Tej, przed którą w pokorze schylali w proch głowy swe ukoro-

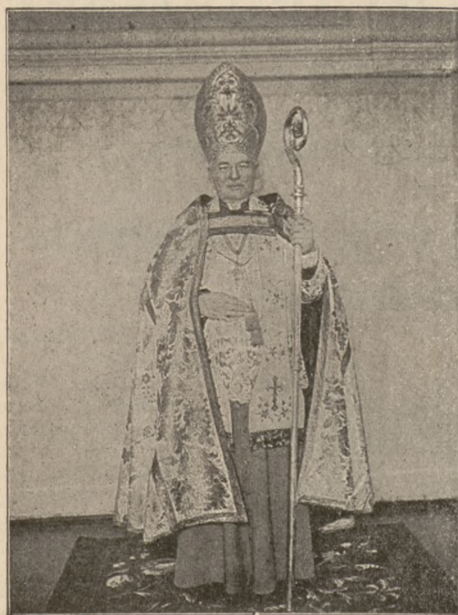
nowane niezapomniani królowie nasi, gdzie klęczeli Jagiełłowie, Wazowie, Sobiescy i inni bohaterowie, czciciele i obrońcy Maryi!

Kochajmy Matkę Boską Częstochowską, jak Ją ukochali święci Pańscy, jak ją umiłowali mężowie natchnieni duchem Bożym, Apostołowie, monarchowie, wodzowie ludu, — jak Ją ukochali wszyscy ci, którzy doznali cudu u stóp Jej tronu ziemskiego, przed Jej świętym Obrazem na Jasnej-Górze w Częstochowie. Kochajmy Maryę, głośmy Jej cześć i chwałę, bądźmy Jej czcicielami, abyśmy osiągnęli najwyższe dobro każdego człowieka: szczęście i pokój na ziemi — zbawienie wieczne w niebiosach.

To wezwanie, tę prośbę zanosi „Dzwonek Częstochowski“ do wszystkich chrześcijan-katolików, pragnąc ich dobra, ich zbawienia.

Wielcy i maluczcy tego świata mile słuchają głosu „Dzwonka Częstochowskiego“. Pobłogosławili pismo nasze Papieże z wyżyn stolicy Świętego Piotra, biskupi nasi, zgromadzenia świętobliwe, oraz z nizkich chat wiejskich wierni czciciele Maryi.

Oto między innemi, wielce łaskawy dla nas list Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski“ w świat wychodzi.



Jego Ekscelencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność "Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Od lat siedmiu, za pomocą duchownego słowa, nawołuje „Dzwonek Częstochowski“ do miłości Boga i bliźniego, do ukochania ojczystego zagonu i ojczystej przeszłości, do pracy w duchu prawdy i sprawiedliwości.

„Kto więc ukochał głos „Dzwonka Częstochowskiego“, kto stara się o rozpowszechnienie tego pisma, o jednanie mu jak najszerszych kół czytelniczych, ten pomnaża chwałę i cześć Jasnej-Góry, ten szerzy światło wśród ciemności, staje się prawdziwym czcicielem Maryi, ten tępi zbrodnię i występek, krzewi cnotę i światło prawdziwej wiedzy.

„Dzwonku Częstochowski“, dzwoń,
Święte echa roznoś w dal
Z szumem wiatru, z szumem fal,
Ode złego broń nas, broń!

„Dzwonku Częstochowski“, dzwoń,
O Maryi cudach głoś,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznoś woń!

Ulepszać i udoskonalać „Dzwonek Częstochowski“, to najgorętsze pragnienie nasze, a zwłaszcza w roku 1908, kiedy rozszerzenie koncesyi i pozyskanie nowych zastępów piszących, ułatwi nam to i zapewni pismu poczytność coraz większą, zjedna coraz większe koło przyjaciół-czytelników, a przez to da nam możność materyalną do jeszcze większych ulepszeń i udoskonaleń.

Obok prac treści **religijnej i historycznej**, ożywimy dział wiadomości z dziedziny **polityki, nauk społecznych i przyrodniczych**, z dziedziny **handlu i przemysłu, hygieny** i innych pożytecznych rad i wskazówek, bądź z dziedziny **gospodarstwa rolnego i domowego** bądź **pedagogiki**, a także **z dziedziny pożytecznych odkryć i wynalazków, podróży** po ziemiach ojczystych i obcych. Wszystkie te prace starać się będziemy podawać w formie jasnej, zrozumiałej dla wszystkich, językiem pięknym, wolnym od naleciałości cudzoziemskich.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski“ na kongresie katolickim w Fryburgu.

Premium „Dzwonka Częstochowskiego“ na rok 1908 stanowić będzie piękny obraz kolorowy, przedstawiający **„Ołtarz z cudownym wizerunkiem Pana naszego Jezusa Chrystusa w kaplicy na Jasnej-Górze w Częstochowie“.**

Premium to, kosztowne w wykonaniu, ofiarujemy w myśl życzenia tysięcy czytelników „Dzwonka Częstochowskiego“, którzy serdecznie pragną cudownym wizerunkiem Zbawiciela uświęcić ściany swego domostwa.

Druk zajmujących powieści z dziedziny historyi: **„Żona Cezara“** i **„Historya wojen krzyżowych“** z illustracyami G. Dorego w dalszym ciągu na kartach „Dzwonka Częstochowskiego“ prowadzić będziemy, jednocześnie rozpoczynając powieść historyczną autora **„Nawróconego“**, poświęconą zawsze drogim dla nas wspomnieniom naszego odrodzenia narodowego przed stu laty. Zajmująca ta powieść opiewać będzie orle wzloty niezapomnianego wodza-bohatera narodu polskiego — Tadeusza Kościuszki.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) **Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa,** (najobszerniejszy ze wszystkich znanych w języku polskim). 2) **Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach.** 3) **Obrazy z historyi klasztoru Jasnogórskiego,** (z illustracyami). 4) **Drogą Świętych Męczenników wśród pogan,** (z illustracyami). 5) **Na ziemi i na gwiazdach,** (z illustracyami). 6) **Światła wiary i nauki,** (z illustracyami).

Nadto drukować będziemy piękną pracę **„Dawne nasze świątynie i klasztory"**, ozdobioną licznemi illustracyami.

Dla tych z prenumeratorów naszych, którzy z góry opłacą prenumeratę na cały rok 1908, co nam w znacznej mierze ułatwi ulepszenie „Dzwonka Częstochowskiego", ofiarujemy w kwartale pierwszym zajmującą powieść: p. t. **„W szponach pruskiej hakaty"**, osnutą na tle ostatnich wydarzeń w Księstwie Poznańskiem.

Nad to prowadzić będziemy wszystkie prace dotychczas drukowane w „Dzwonku Częstochowskim", a mianowicie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne tak z dziedziny życia społecznego, politycznego jak naukowego z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.



Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego"

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie we wszystkich językach wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik Łódzki w kościele Matki Boskiej Śnieżnej. Ksiądz Głowieński w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Szymon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku, jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi Najświętszej w naszym kraju.

Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego" wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5. — W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną-Górą w Częstochowie,

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Bogarodzica naszą Matką.

Dawni i nowocześni pisarze inny jeszcze stawiają zarzut przeciwko wzywaniu wstawiennictwa Najświętszej Panny i Świętych, mówiąc, że takowe ubliża zasługom Jezusa Chrystusa — gdyż one same mają moc wyjednania nam wszelkich łask.

I tak jest rzeczywiście. Wszelka łaska przychodzi nam z wysoka przez Jezusa Chrystusa.

Trzeba być obranym z rozumu, żeby przypuszczać, iż okup Zbawiciela nie wystarcza bez przyłożenia się Maryi i Świętych. Któż z katolików coś podobnego może pomyśleć?

Wszystkie wezwania i modlitwy zanosi Kościół na ziemi: przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, też prośby powtarza Kościół tryumfujący w niebie: przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Jakimże sposobem zdobyli chwałę Święci i prawo przyczyniania się za nami?... Tylko wskutek zasług i pośrednictwa Chrystusowego.

Jak w świecie natury drugorzędne przyczyny i najmniejsze stworzenia świadczą o wszechmocności i dobroci Stwórcy, tak i modlitwy Świętych i ich zasługi przed Bogiem są stwierdzeniem znaczenia, które nieodłącznem jest od osoby Pana Jezusa. Wszystkie głosy Świętych zlewają się na jeden hymn chwały Syna Bożego za Jego nieskończoną miłość, w której czerpią zachętę do ratowania nas, jako swych braci — pragnąc, aby nikt z nas nie zginął.

Któż nie odczuje piękności i podniosłości, jaka się zawiera w tej katolickiej nauce?...

Święty Jan Apostoł w pierwszym swoim liście zachęca wiernych: — „Patrzcie, jaką miłość dał nam Ojciec, że nazwani jesteśmy synami Bożymi i jesteśmy.“ „Najmilejsi, teraz synami Bożymi jesteśmy, a jeślić synami — mówi znowu święty Paweł, tedyć i dziedzicami, dziedzicznie Bożymi, a społu dziedzicami Chrystusowymi, nie z prawa natury, ale przez miłosierdzie i przez łaskę.“

Przywilej ten nam dany, zamiast obniżać wielkość Syna Bożego Jednorodzonego, jest Jego zjawienia się na ziemi cudownem odbiciem.

I w istocie — majestat Boski taką świeci wielkością, dobrocią, pięknością, iż rozlewając całymi potokami swe dary, bogactwa i piękność, nie uboży się, ani wyczerpuje.

Syn Boży, pozostając Jednorodzonym w niedostępnej dla nas sferze, jako człowiek stał się czynnikiem przywłaszczenia nas za syny Boże.

Chcieć kogoś wyłączać z tego przywileju i mówić, że się to czyni dla wywyższenia Jednorodzonego Syna Bożego, znaczyłoby naprawdę utrzymywać, że Jego dostojność ograniczona w tem zbliżeniu się do synów ludzkich, albo, że ofiara na Kalwaryi spełniona, nie ma ceny należytej.

Dla nas Pan Jezus, nasz Brat i Bóg, ukazuje się tem piękniejszym, tem bogatszym i więcej godnym miłości, tem prawdziwiej Jednorodzonym Ojca, im więcej jedna sobie braci i współdziedziców.

Zastosujmy to pojęcie do wstawiennictwa, a zrozumiemy, że mnogość orędowników zamiast uchybiać chwale Boskiego pośrednika, którym jest Jezus Chrystus — zwiększa ją w oczach ludzi i Aniołów. Uwagi te powinnyby wystarczyć dla przekonania każdego, iż o wstawiennictwie Maryi, jako Matki Pana Jezusa, wysoce trzymamy.

Dzieciom Bożym nie mała stąd przychodzi chwała, jeżeli wolę swoją przymierzają do woli Ojca Niebieskiego — zabiegają o doskonałość duchową braci. Najświętsza Marya Panna w imię swego macierzyństwa potrzebuje mieć przystęp do tronu miłosierdzia — wstawiennictwo Jej bowiem przychodzi z pomocą tym, którym pomagać do zbawienia, jako duchowa matka, czuje się obowiązaną.

I miłość Pana Jezusa ku Maryi Matce przedziwnie obmyśliła pomnożenie należnej dla niej chwały, czyniąc Ją wspomożycielką potrzebujących miłosierdzia Boskiego.

Czybyśmy mogli mówić, że w rękach Maryi nasze zbawienie, jeżeli nie bylibyśmy zachęceni do wzywania Jej pośrednictwa — gdyby Ona nie była istotnie naszą Obronicielką wobec Boga?

Czyż nie byłaby pozbawioną pociechy, radości, jakiej doznaje każda matka, kiedy opiekuje się dziećmi — gdybyśmy do Niej rąk swych nie podnosili, nie rzucali się z synowską ufnością w Jej ramiona i nie wołali: „Oczy Twoje miłosierne obróć na nas!“ Czyż miałaby za nami prosić — choćbyśmy o to nie zabiegali?

Dlaczego każdą modlitwę kończymy słowy: „przez Pana naszego Jezusa Chrystusa“ — kiedy stawamy w obliczu Boga, dla otrzymania jakiej łaski? Gdyż otrzymanie takowej zależy od pośrednictwa naszego Zbawiciela.

Taż sama ufność skłania do wzywania Najświętszej Maryi Panny, Matki Bożej, przez Nią Jezus Chrystus okazuje się litościwym.



Najświętsza Rodzina.

Ileż razy widzimy małe dzieci, tulące się pod obronę matek — skoro im niebezpieczeństwo grozi — lub czegoś potrzebują.

Ale cóż tu mówić o małych dzieciach?

Wstąpmy do Nazaret i przypatrzmy się Dzieciątku, o którem mówił Prorok: „Maluczki narodził się nam i syn jest nam dany.“

Patrzcie, jaki pokorniuśki, z jakiem uszanowaniem i posłuszeństwem dla matki; z jaką powolnością i czułością przyjmuje wszelką

troskliwość, jaka się należy słabemu wiekowi, jakby wiedział, iż Ojciec Niebieski powierzył go macierzyńskiej zabiegliwości. Czemże jesteśmy w porządku duchowym odnośnie do Maryi?

Dziećmi, prawie niemowlętami. Otóż czyńmy, jak czynił Pan Jezus. Nietylko szanujmy i miłujmy Macierz świętą, ale wypraszajmy sobie przez Jej pośrednictwo wszystko, co nam potrzebne do zachowania i rozwinięcia w sobie życia nadprzyrodzonego — Boskiego. Z tej to przyczyny Kościół nie przestaje błagać wstawiennictwa Maryi.

Nie masz takiej godziny, dnia i nocy, w którejby ta pierwsza córa Matki, okazanej ludziom, nie błagała na kolanach o przemożne wstawiennictwo.

Cześć błagalna — kult modlitewny jest przedmiotem przepisów kościelnych, zaleceń i rad, udzielanych wiernym. Powagą kościelną ustanawiają się uroczystości i święta Maryi i wierni obowiązani bywają wyraźnem przykazaniem.

Różne praktyki pobożne — wielorakie ćwiczenia i modlitwy, jakkolwiek nie wkładają na nikogo obowiązku, są przyjmowane — jako dobra i pożyteczna rada.

Nic więc nie może być stosowniejszego — bardziej zgadzającego się z przywilejem i rolą wyznaczoną Maryi w sprawach naszych duchownych — jak ta cześć — ten kult ufności synowskiej — odpływ swój mający w prośbach, wołaniach cichych i głośnych o wstawiennictwo i pośrednictwo Maryi przed Bogiem. Co też wierni katolicy w tysiączny sposób czynią i nigdy chyba czynić nie przestaną na ziemi — w niebie, ani nasze uwielbienia, ani nasza miłość nie będzie potrzebowała tego rodzaju zaleceń, ani tego rodzaju zachęty.

Coraz większej nabieramy pewności, że kult modlitewny jest potrzebny, zawsze pamiętając, że potrzeba ta jest względną — moralną.

Oznaczać ściśle rodzaj modłów, próśb — odpowiadających tej potrzebie moralnej — jest niepodobnem, gdyż zależą od poszczególnych okoliczności — ale i to pewna, że im są gorętsze i częstsze, tem obfitsze dary niebieskie wyjednywają.

„Nie słyszano, aby ktokolwiek ucieka się do Ciebie, o, Maryo, nie był wysłuchany".

Czyż po za Maryą niema zbawienia?

Powiedzenie to dobrze należy rozumieć.

Toć, jeśliby Marya nie dała nam Zbawiciela, bylibyśmy podlegli skutkom grzechu pierworodnego, łaska nie ukazałaby się dla ludzi, niebo byłoby zamknięte.

Bez łaski, bez pomocy Bożej niema zbawienia — cała łaska przychodzi do nas przez pośrednictwo Maryi.

Nie czcić Maryi, nie prosić Jej, trzymać się zdala od Niej, znaczyłoby odrzucać Jej wstawiennictwo przed Bogiem, nie uznawać Jej zasługi, Jej godności.

Cóż nas może skłaniać do szukania pośrednictwa Maryi?

Zalecanie modłów i ich używanie nakazuje nam głębsze zastanowienie. Są, jak wiemy, i tacy ludzie, którzy nie przez wzgardę lub obojętność, ale przez niewiadomość nie wzywają Maryi.

(D. c. n.)

ks. Wł. Fudalewski.



ZŁOTE MYŚLI.

Kiedy jesteś sam, myśl o własnych błędach, kiedy jesteś w towarzystwie, nie myśl o cudzych.

Tyś wielki, Boże! Za Twoim rozkazem,
Co było miękkiem, staje się żelazem,
Co było ślepem — to przewidza nagle,
Co było nizkiem — puszcza skrzydeł żagle.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana naszego Jezusa Chrystusa.

W warownym zamku, zwanym Macherus, siedzi jako więzień, wysłaniec Mesyaszowy—Jan Chrzciciel. Do tego więzienia wtrąciła go obrażona duma tetrarchy galilejskiego, Heroda Antypy i złość Faryzeuszów. Więzienie zresztą dość znośne, bo uczniowie Janowi mają wolny przystęp do mistrza. Do tego ustronia daleko po za granicami Galilei dochodzą wieści o „Oblubieńcu“ — o Mesyaszu, o Jego cudach. Coraz więcej tych wieści i coraz ogromniejsze. Jan poznaje Mesyasza, którego był chrzcił w Jordanie i w oczach jego rośnie coraz większy on „Syn umiłowany“, któremu sam Ojciec dał jawne świadectwo. Rzeczywistość zdaje się przewyższać i najśmielsze pragnienia i wiarę Janową. W całym kraju bodaj niema drugiego, któryby z takiem zajęciem śledził każdy krok, każdy czyn Mesyasza.

Nagle przylata wieść do więzienia o młodzieńcu w Naim, o matce jego, wdowie, która jedynaka swego już z objęć śmierci na nowo odebrała; więc ten prorok w więzieniu Jan święty, jak gdyby strugą światła nagle oblany, poznaje swoją i ludu swego godzinę; czuje, przeczuwa, jak ten niesłychany wypadek, ten cud wskrzesze-

nia umarłego musi wywrzeć potężne wrażenie na umysły wierzące i niewierzące. A więc on Wysłaniec jeszcze raz w krytycznej chwili winien ludowi swemu oddać przysługę, podnieść głos, wskazać Mesyasza. Wybiera Jan dwóch uczniów swoich, wyprawia ich do Jezusa z poselstwem, którego doniosłości ani się domyślają.

Mają iść do Galilei, mają tam poszukać głośnego Cudotwórcę, o którym oni sami tyle już dziwów opowiadali i w imieniu jego, Jana mają się zapytać: „*Tyś jest, który ma przyjść, czyli inszego szukamy?*“

Cel i zadanie tego poselstwa nadzwyczaj ważne. Jan od samego początku uwierzył w Mesyasza, uznał Go, więc dziś zapytuje swego Pana, bo z własnych ust Jego chce, jakby na ostatnie pożegnanie usłyszeć potwierdzenie wiary swojej, pracy swojej. On, Jan, słyszał był na własne uszy głos z nieba nad tym Jezusem: „*Ten jest Syn mój najmilszy*“, na tego Jezusa widział zstępującego Ducha świętego; dziś chce słyszeć świadectwo samego już Syna — co On Sam powie o Sobie, nie dlatego, aby wątpił o świadectwie Ojca i Ducha, lecz żeby temu świadectwu samego Syna złożył hołd powinny. On nie potrzebuje świadectwa dla siebie, aby wierzył, nie potrzebuje nawet świadectwa Mistrza swego, Jezusa; lecz pragnie, szuka sposobności to świadectwo uznać publicznie, jawnie wyznać wiarę swą, przypieczętować pieczęcią i niejako podpisem publicznym stwierdzić, że „*Bóg jest prawdziwy*“.

Jest to zwycięstwem wiary — jest tryumfem Boga, prawdziwości Bożej, uznać w tym skromnym, lichutkim Jezusie Mesyasza, a uznać Go dla niego samego, na jego własne słowo. Z taką dopiero pieczęcią wiara Chrzciciela staje się doskonałą, gdyż opiera się na świadectwie, na prawdziwości Boga w Trójcy Jedynego.

W ten sposób wiarę swą „pieczętując“ — składając hołd Mesyaszowi, czyni Jan zadość pragnieniu własnego serca, żarliwem o chwałę Bożą, a z tem pragnieniem wznosi się do wysokości swego powołania. Teraz więc, gdy Chrzciciel, gdy ten od wszystkich znany, ceniony i wielbiony prorok nie chce nic więcej tylko z ust samego Jezusa zapewnienia, że jest Mesyaszem, aby mógł umrzeć z weselem, to dla biednego ludu wciąż jeszcze wahającego się, niknie ostatnia wymówka, gdy nie chciał uwierzyć.

Wysłaniec, który przez tak długi czas zapowiadał Królestwo Boże, jawnie dziś wyznaje swą wiarę w Jezusa, jawnie i stanowczo oświadcza się za Jezusem, by wszystek Izrael wiedział, gdzie ze swym „Prorokiem“ ma szukać oczekiwanego Mesyasza, królestwa Mesyaszowego.

Niegdyś, gdy „Baranek Boży“—taki niepozorny—przechodził na puszczy, wskazywał go słowem; dziś już własnym przykładem wskazuje na Tego, który nauką i cudami wszystką ziemię napełnił. Teraz może już umierać spokojnie, spełnił bowiem zadanie swe. Takie zadanie ma poselstwo Janowe z więzienia do Izraela. Jan pyta się w imieniu całego ludu.

Posłowie Janowi trafiają do Galilei w niezwykłą godzinę: *„onejże godziny wiele ich uzdrowił od niemocy i chorób i od duchów złych, a wielu ślepych wzrokiem darował.“* Zdaje się, jak gdyby zmiłowanie Boże lało się strnmieniem, z którego piją spragnieni, biorą ochłodę, pokrzepienie, życie.

W otoczeniu Jezusowem pełno ruchu i gwaru, słychać dziękczynienia uzdrowionych, wszyscy zachwyceni, zdumieni, wszyscy, którzy wierzą i nie wierzą, wzruszeni, w niezwykłym nastroju. Jezus na wsze strony zajęty, gdzie stąpnie—czyni cuda. Naraz przerywają Mu pracę posły z daleka, od Jana z więzienia przybywa poselstwo.

Z naciskiem i uroczyście odzywają sią bez wszelkich omówień: *„Jan Chrzciciel posłał nas do Ciebie, pytając: Tyś jest, który ma przyjść, czyli inszego czekamy?“* Słyszy te słowa lud, słyszą nieprzeliczone rzesze, słyszą, że posłowie Janowi przybyli, że ci posłowie w imieniu wielkiego „Proroka“, a prorok w imieniu wszystkiego Izraela *proszą o odpowiedź*, ażali On jest Mesyaszem, na którego tak dawno czekają.

I te rzesze ludu zwracają mimowoli oczy na Cudotwórcę, zapierają dech w sobie, w głębokiem milczeniu, z niesłychanem napięciem czekają, co im odpowie: czy jest, czy nie Mesyaszem?

Jezus daje odpowiedź.

Odpowiedź na pytanie Janowe jasna, wzniosła, stanowcza i uroczysta. Jezus nie mówi: *„Jam Mesyasz“*, co byłoby dostatecznem, lecz stawia na oczy obraz tego wszystkiego, co działało cudownie, znaki widome, po których Jan musi poznać, że godzina Łaski już wybiła i musi poznać Mesyasza. Uczniom Janowym wskazuje na to, czego sami byli dopiero co naocznymi świadkami; uniesiony wielkością chwili, natchniony, promienny cały, mówi: *„Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli, iż ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli powstają, ubodzy ewangelię przyjmują. A błogosławiony jest, którykolwiek się nie zgorszy ze Mnie.“*

Czy Jezus jest Mesyaszem, który ma przyjść? Takie było pytanie. Odpowiedzią na to pytanie są wszystkie cudowne objawienia, jako znaki Mesyasza, przepowiadane od proroków; te znaki, te wszystkie cuda w głos domagają się wiary weń, jako w Mesyasza.

Wszelako Jezus wie dobrze, co jest kamieniem obrazy, zgorszenia. W przepowiedniach prorockich jakiż jest wspaniały Mesyasz? Nie kto inny, jeno Król, jeno sam Bóg przyjdzie, odkupi Izraela, wybawi od nieprzyjaciela — a tym właśnie jest oto ten Jezus! Prawda, że ten Jezus raz po raz, co chwila objawia cudowną moc, ale taki ubożuchny, taki pokorny, zupełnie niepodobny na króla, jakiego potrzebuje Izrael, mściciel, którego tak pożąda i oczekuje.

A jeszcze ten Jezus karci, łaje, strofuje Faryzeuszów i uczonych kapłanów, przewodników ludu, odgraża świątyni, miastu, ludowi, a na dobitkę zapowiada, że będzie cierpiał; umrze Mesyasz. — Cierpieć? — umrzeć? Toć to zgorszenie! Jezus wie o tem wszystkiem. To też z całą stanowczością mówi: „*Błogosławiony, kto się ze Mnie nie zgorszy*“. Biada temu, kto się zgorszy z Mesyasza, bo chociaż śmierć poniosę, to tę śmierć zwyciężę. Odkąd na jedno słowo wskrzeszam umarłych, ktoby miał prawo gorszyć się z śmierci Mojej?

Posłowie Jana odeszli. Łatwo sobie wyobrazić, jak się ucieszył Jan w więzieniu, odebrawszy takie świadectwo, dane przez Samego Mesyasza o Sobie.

Tłumy ludu zgromadzone około Jezusa słyszały uroczystą Jego odpowiedź; wzruszone milczą, skłonne nawet uwierzyć. Ale jednak to ciężko przychodzi, boć trzebaby zerwać z przesądami, ze zwyczajami, z przeszłością, z obecnością—stoją bezradne. Mesyasz lituje się nad tym ludem biednym.

Po odejściu uczniów Jana wykłada im znaczenie poselstwa tego. Wybór ich zawisł od tego jednego pytania, czy wierzą w proroka swego, w Wysłańca. Dlatego ukazuje im tego drugiego Eliasza, jak go sami widywali na własne oczy, przypomina wrażenia, jakich doznawali na puszczy, słuchając kazania Jana. Jan jest czemś więcej, niżeli prorokiem, jest, „*Wysłańcem*“ Mesyasza, więc z nim otwiera się królestwo Boże. Jego wyróżnia od innych proroków to, że tamci wszyscy prorokowali, a z nim kończy się czas proroctw, poczyna się ich spełnienie. Kto tedy wierzy w Wysłańca, ten wierzy i w Mesyasza, a kto tamtego odrzuca, odrzuci Mesyasza, odrzuca królestwo niebieskie. Kazanie Jana, pokuta przez niego zalecana, spowiadanie się grzechów i ten chrzest — to wszystko odstręcza człowieka bezmyślnego, szukającego wygód w życiu; ale jak tylko

Łaska, królestwo niebieskie samo się narzuca, to i ze strony człowieka potrzeba gwałtu i tylko gwałtownicy, ci, co chcą naprawdę, co samych siebie przemogą, porywają je.

Takim jest Jan, który co dopiero w oczach Izraela oddał na swój sposób hołd Mesyaszowi. Jakież Izrael zajmuje stanowisko wobec swego wielkiego Proroka, wobec Posłańca Mesyaszowego? „Lud wszystek i celnicy słysząc, usprawiedliwili Boga ochrzczeni chrztem Janowym; ale Faryzeuszowie i biegli w Zakonie wzgardzili radą Bożą sami przeciw sobie nieochrzczeni od niego“.

(D. c n.).



ZŁOTE MYŚLI.

Żywi niech nigdy nie tracą nadziei.

Ufajmy! prawda fałsz zwycięża!
Zawsze ustąpi dniowi cień!
Ten, co świat podbił bez oręża
I nam tryumfu ześle dzień!

Co dasz ubogim, nigdy ci nie zginie,
Bóg ci to wróci w ostatniej godzinie.

KRZYŻ NAD NIEMNEM.

Opowieść spółczesna.

——

Szumi błękitny Niemen, szumi i płynie szeroko, potoczyście, wśród pól żyznych, wśród łąk zielonych, wśród puszcz podniebnych. Nad nim mieszka lud cichy, pracowity, pobożny zamknięty w sobie, miłujący rodzinny szmat ziemi. Przechodził on niedole ciężkie i nędze i prześladowania, a jednak trwa niezmożony, nieustraszony, pogodny, czerpiąc ukojenie i siłę w modlitwie i wierze gorącej.

Ot, tam, o kilkaset kroków od Niemna, stoi chata wtulona w kępę jodeł; bielą się jej ściany, odbijając od zieleni drzew i zczerniałego, dranicami krytego dachu.

To chata Warłajtysów,

Stary był ród Warłajtysów; szła wieść, że przodkowie ich jeszcze z krzyżakami walczyli, a miano ich w rodzinnej mowie znaczyło tyle, co wojak. To też, choć lata całe siedzieli cicho na rodzinnym zagonie, gdy tylko w kraju zagrała pobudka do wojny, każdy Warłajtys rzucał chatę i szedł bić się — z kim chcesz, byle za kraj! A chatę strzegły kobiety, majątku dorabiały się kobiety. I nie skarżyły się na ciężką pracę, nie wyrzekały, bo od dziecka miały wszczepione w dusze, że dla kraju niema dość wielkiego poświęcenia, dość ciężkiej pracy.

Dziś, choćby najdonioślej grała pobudka bojowa, żaden Warłajtys nie zerwałby się do broni, bo jedyny męski potomek, Adamek zaledwie trzynaście lat liczy. Mieszka w chacie rodzinnej z matką, siostrą — Marylką i staruszką prababką, co już blizko 90 lat przeżyła.

Warłajtysowa ociemniałą jest od dawna; powiadają, że oczy sobie wypłakała; ale bo też miała w życiu grobów i nieszczęść co niemiara! A gdy ludzie wspominają jej niedolę, zniżają zawsze głos i mówią, jakby z trwogą i nabożeństwem:

— Starego Warłajtysa zabili w 46 roku... Coś się ludziom zaczęło zachciewać, coś zamyślali, coś szeroko roili — zginął. Syn jego, jedyne dziecko Warłajtysowej, zginął przed czterdziestu pięciu laty... powieszony... powieszony w oczach matki. Pochowali go tam, na wzgórzu, gdzie dawniej krzyż był, a dziś jeno macierzanka i jałowiec rozpościerają ożywcze wonie. Wnuk to znowu w1891 roku... Tak się złożyło... był właśnie w Krożach; popędzono go z innymi nad brzeg Niemna i zepchnięto; poniosły fale ciało, którego nawet nie wydobyto. Tak widocznie sądzone było, aby żaden Warłajtys „swoją śmiercią“ nie kończył.

Wieś cała czciła i kochała Warłajtysową; przychodzono do niej po radę i pociechę. Ona dnie całe spędzała na modlitwie, albo, choć ociemniała, przędła kądziel, nucąc pieśni pobożne, cichym, bolesnym głosem. Codziennie tylko, choćby w najgorszą niepogodę, wchodziła na wzgórze, gdzie jałowiec i macierzanka, klękała w miejscu, gdzie dawniej krzyż stał, i trwała tak w modlitwie i rozmyślaniach. Przesądni mówili, że rozmawiała z duchami Warłajtysów.

— Babuniu — odezwał się raz Adamek,—jak wy, ociemniała, znajdujecie drogę na wzgórze, gdzie dawny krzyż?

— Siedmdziesiąt lat tam chodzę,—odrzekła babka;—jeślim opuściła kilka dni, to tylko wtedy, gdym była ciężką złożona chorobą.

— A czemuście, babuniu, tak sobie upodobali to miejsce? — zapytał znowu.

Staruszka milczała chwilę, potem, wyciągnąwszy ramiona przed siebie, przygarnęła prawnuka i poczęła mówić stłumionym, jakby pozagrobowym głosem:

— Pora już, pora, dziecko, abym ci to powiedziała tyś teraz jedyny mężczyzna z rodu Warłajtysów, a ja wiekowa, nad grobem, trzeba, abym ci powiedziała, dlaczego to miejsce czcić musisz i jakie jest co do niego moje jedyne pragnienie. Już blizko lat 70, kiedy mnie pradziadek twój z moich rodzinnych Wiskitek tu przywiózł. Zanim do chaty mnie wprowadził, wprzód na to wzgórze przywiódł, gdzie wówczas stał krzyż wysoki z postacią Chrystusa, w wielu miejscach głębokiemi brózdami pocięty. — Patrz, Marto, powiedział mi, ten krzyż stoi 200 lat, każdy Warłajtys żonę tu przedewszystkiem po błogosławieństwo przywodził, tu nowonarodzone dziecię z modlitwą przynosił, tu, przed wojną, o ten krzyż święty szablę zacinał... Widzisz te cięcia?... Szanuj ten krzyż i to miejsce, bo to jak nasza świątynia, gdy kościół mamy tak daleko. Bóg świadkiem, żem krzyż szanowała i gdy mój zginął, gdym została sama w chacie z małemi dziećmi, szanowałam go; codziennie z mo-

dlitwą szłam do stóp jego, latem zawsze dzieciom w świeże kwiaty stroić kazałam i choć ciężko mi wtedy było, zapłaciłam majstrowi z miasta, aby pomalował i sztachetkami otoczył. I zechciał Bóg, że mimo starań, mimo zabiegów, krzyż padł a że wewnątrz zmurszały był, w próchno się rozsypał. Postawić nowego krzyża nie dali. Com się naprosiła, com nachodziła, ilem pieniędzy na starania i marki straciła!... Odmówili. Trzydzieści pięć lat chodzę modlić się na to wzgórze, pod kolanami memi mam święte prochy mego syna-męczennika, ale nad sobą nie mam świętego krzyża, nie mam do czego przytulić się, jak dawniej, nie mam do czego piersią przypaść, na co łez mych wylewać!... I wtedy, gdy mi o śmierci twego ojca powiedziano, tom poszła tam, alem jeno na twardą ziemię się rzuciła, piasek jeno łzy moje pił, trawa od westchnień mych usychała. To tobie, dziecko moje, jak Bożą wolę przykazuję, szanuj to miejsce i jeżeli czasy się zmienią, jeżeli nowy krzyż postawić będzie wolno, uczyń to, uczyń, nie zwlekając. Choćbyś na to ostatni grosz z chaty miał dać, sprzedać ostatniego konia, lub bydlę, choćbyś zboże, do siewu ostawione, sprzedać miał — postaw! Gdybyś pieniądze na wesele przeznaczył — zaniechaj wesela; choćby na mój pogrzeb — zanieście mnie w czterech deskach, jeno modlitwę nad grobem wygłoście, a krzyż niech stanie... Zrobisz tak, Adamek?

Chłopiec zgrzybiałą rękę prababki do ust podniósł i odrzekł z prostotą:

— Zrobię, babuniu!

. . . .

Wracał Adamek na letnie wakacye, na pierwsze wielkie wakacye ze szkoły, z dobrą cenzurą, z dobrą miną. Matka powitała go łzami radości, babka do piersi, milcząc, przytuliła. Chłopiec zauważył, że staruszka bardzo się zmieniła przez tych kilka miesięcy; pochyliła się jeszcze mocniej, ręce jej i głowa trzęsły się nieustannie.

— Babunia i teraz codzień na wzgórze chodzi? — zapytał Adamek Marylkę.

— Tak, ale teraz ja ją tam prowadzam; samej ciężko chodzić staruszce.

— Marylka, wiesz, ja babuni taką radość gotuję, że zapomni o tych łzach, któremi oczy wypłakała.

— No, co to takiego? — zapytała zaciekawiona Marylka.

— Wy tu żyjecie bez wieści, co się na świecie dzieje, a choć dowiecie się o czem-niebądź, to dopiero w kilka tygodni po fakcie, więc też nie wiecie jeszcze i tego, że teraz wolno, gdzie chcieć stawiać kościoły i krzyże. Ja dowiedziałem się o tem zeszłego tygodnia.

— Ale, czy to pewne, Adamek?

— Jaknajpewniejsze; wszystkie gazety pisały. To zaraz postanowiłem, że na wzgórzu babuni stanie krzyż według jej woli. O drzewo łatwo, matka nie będzie miała nic przeciw temu, że jedną sosnę się zetnie, sam drzewo obrobię i wkopię, tylko o figurę idzie.

— A tak, skąd jej weźmiesz?

— Figurę już mam, chodź, zobacz!

Zaprowadził ją na poddasze, gdzie zaraz po przyjściu złożył pakunek w rogoży.

— Nie rozpakuję jej teraz, zobaczysz, gdy już będziemy do krzyża przybijali. Taki tam Chrystus, jak żywy; twarz cudna, słodka, głowa chyli się w cierniowej koronie, z pod której krew kropelkami spływa.

— Skądżeś ty to dostał?

— Kupiłem.

— A skąd miałeś pieniądze?

— O, pieniądze!... Na taką rzecz pieniądze muszą się znaleźć! Mama przysłała mi na buty; nie kupiłem; czy to ja całe lato nie mogę boso chodzić, czym to nie chłop?... Te pieniądze użyłem na zadatek. Rzeźbiarz, który robił figurę, poczciwy i grzeczny, zaufał memu słowu, że zapłacę resztę po powrocie z wakacyj i pozwolił mi ją zabrać.

— A skąd potem będziesz miał pieniądze? Mamę poprosisz?

— A cóż to nie będzie żniw?... nie będzie młocki?... niema dworu?!... Najmę się do roboty, będę pracował dzień w dzień, aż zarobię... Dwanaście rubli mi potrzeba.

— I zarobisz tyle?

— Zarobię!

— Co za szczęście! Pójdę, powiem o tem babuni.

— Daj pokój, Marylko! Babunia się dowie dopiero, gdy krzyż stanie, gdy go własnemi rękami namaca, własnemi ramionami obejmie. Będzie to tem większa dla niej radość. A najlepszy na tę uroczystość będzie dzień 29 lipca, bo to rocznica śmierci dziadka.

— Masz racyę, Adasiu!

. . . .

Nazajutrz zabrał się Adamek do roboty. Od rana do zachodu słońca kopił dworskie siano, po powrocie do domu zaś, zjadł jaknajprędzej kolacyę i zaraz zabrał się z wiedzą matki, do ścinania wysokiej sosny, co rosła na granicy ich gruntu. Mozolił się srodze, ręce opadały mu ze zmęczenia, ale pracował wytrwale, niemal z zawziętością. Księżyc był wysoko na niebie, gdy z przeciągłym jękiem i trzaskiem łamanych gałęzi, padła stara sosna, co krzyżem miała zostać.

Następnych dni każdą wolną chwilę spędzał Adamek przy obrabianiu drzewa. Pomagała mu w tem, o ile sił starczyło, Marylka. Czasem który z sąsiadów przyszedł pomódz dzielnemu chłopcu, to też robota szła żywo i w dwa tygodnie po rozpoczęciu na biało malowanym krzyżu przybito postać Zbawiciela... Nazajutrz miano wkopać go na pamiątkowem wzgórzu. Adamek prawie nie spał tej nocy, tak był wzruszony. Wstał ze świtem z postanowieniem, że nie uda się do żniwa, a dzień spożytkuje na postawienie krzyża, tak, aby babka, przyszedłszy na swe wzgórze, jak zwykle przed wieczorem, zastała już tam tę wielką niespodziankę. Zbudził Marylkę. Oboje wyszli przed chatę. Świat zdawał się mienić tęczowemi kolorami we mgle porannej, rozbrzmiewać chórem ptasząt.

— No, trzeba krzyż zanieść! — rzekł Adamek. — Wkopanie go i otoczenie sztachetkami dosyć czasu nam zabierze. Weź, Marylko, z tamtego końca!...

Dzieci schyliły się, objęły drzewo krzyża, ale ledwo uniosły, upuściły znowu na ziemię.

— Zaciężki! — szepnęła Marylka.

— Nie damy rady we dwoje!

— Trzeba mamę poprosić do pomocy.

— Mama teraz nie będzie miała czasu... musi śniadanie gotować dla czeladzi.

— To po śniadaniu.

— Stracimy blizko dwie godziny.

— A co robić?

— Tracić czasu nie możemy; muszę skończyć na tę godzinę, w której babunia wychodzi na wzgórze... Przecież to dzisiaj... rocznica.

— To spróbujmy jeszcze; może poradzimy!...

— Daj pokój, mam inną myśl — o, patrz... Nastka Połajtysów już stoi przed chatą. Mateuszek też pewnie już wstał. W podwó-

rzu u Kełbszów kręcą się -- zawołamy Władka i Martę, tamtych także. W sześcioro poradzimy.

— Masz racyę! Biegnij do Kełbszów, a ja skoczę po Nastkę i Mateuszka.

W kilka chwil potem sześcioro dzieci z powagą i namaszczeniem niosło wielki krzyż na zielone wzgórze. Zdaleka w swych jasnych płótniankach, dźwigających na ramionach krzyż biały, wyglądały, jak nadziemskie zjawisko. Ludzie, idąc do roboty, przystawali, odkrywali głowy i szeptali wzruszeni:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A inni dodawali:

— Szczęść wam, Boże!

A inni jeszcze:

— Panie Boże, wam zapłać! Stanie to, stanie ta Boża męka, to ukojenie, ta pociecha, będzie gdzie iść, gdy do kościoła tak daleko. Panie Boże, wam zapłać, dzieci!

Raźno przez dzień cały szła robota na wzgórzu. Najciężej przyszło wkopanie krzyża i ubicie przy nim ziemi, tak, aby nie groził upadkiem. Potem opłynęły nieraz, zanim dokonały trudnego dzieła. Stawianie sztachetek szło już śpiewający. Podczas, gdy chłopcy wykończali je, dziewczęta skoczyły w pole po kwiaty na wianki; a moc maków i bławatków, ostróżek i rumianków pstrzyła się wśród nieskoszonych jeszcze owsów i pszenicy. Otoczono girlandą kwiecia krzyż jak najwyżej. Praca była skończona. Dzieci, nie umawiając się wcale, z przyrodzonego instynktu, uklękły i zmówiły krótkie, serdeczne „Ojcze nasz“.

— A teraz chodzimy po babunię! — rzekł wzruszonym głosem Adamek. Zdaje się już można?

— Można — szepnęła Marylka.

. . . .

Słońce, kłoniąc się ku zachodowi, obejmowało gorąco, pieszczotliwie, postępującą gromadkę. Warłajtysowa, ubrana jaskrawo, po staroświecku, szła wsparta na ramieniu Marylki, która co chwilę podnosiła ku niej swą płową główkę, mówiąc pieszczotliwie:

— Babuńku, babuńkę dziś radość spotka.

A staruszka głową trzęsła jeszcze mocnie jak zazwyczaj.

Historya illustrowana Kościoła świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Święty Otton Bamberski.

Król polski, Bolesław Krzywousty, w 47 bitwach zwycięski, zdobył r. 1121 Pomorze, które niebezpiecznym było sąsiadem, postanowił więc zaraz nadać pogańskiej tej krainie wiarę chrześcijańską. W tym celu udał się do słynnego z cnót Ottona, biskupa bamberskiego, prosząc go, aby się podjął misyonarskiej pracy w nowozdobytym kraju.

Chętnie się przychylił do żądania królewskiego świętobliwy biskup, który za młodu czas dłuższy w Polsce przepędził i kochał ją, jakby drugą ojczyznę. Założył był w niej niegdyś szkołę, w której się wychowywały dzieci najznakomitszych w kraju obywateli, później nawet był kapelanem Władysława Hermana, ojca Bolesława Krzywoustego. Otrzymawszy zezwolenie papieskie, wyruszył Otton święty z Bamberga do Polski, gdzie go w Gnieźnie 1124 r. z największą okazałością Bolesław przyjął i zaopatrzył we wszelkie na wyprawę apostolską potrzeby. W przeciągu niespełna roku miodopłynną wymową i słodyczą obejścia święty zjednał sobie tysiące zwolenników.

Otton święty zbudował na Pomorzu 11 kościołów i księżmi je poobsadzał, poczem do Bamberga powrócił na początku 1125 r. Po jego odjeździe pogaństwo głowę podnosić zaczęło, ludność do dawnych powracała błędów, o czem dowiedziawszy się, gorliwy apostoł znowu na Pomorze pospieszył.

Towarzysze apostolskich prac świętego Ottona ciekawe nam o słowiańskich Pomorza mieszkańcach pozostawili szczegóły w kronikach przez siebie spisanych.

Polacy na obczyźnie.

Dawniej w puszczach amerykańskich — groziło wielkie niebezpieczeństwo każdemu niemal bez wyjątku europejskiemu wychodźcy, nietyle ze strony dzikich zwierząt, ile od niemniej dzikich koczujących różnych plemion indyjskich.

A czy dziś są mniej groźni Indyanie?

Jak to już zaznaczyliśmy, dziś czerwonoskórzy prawie nigdy nie napastują białych, którzy posiadają doskonalszą broń i w walce zawsze ich zwyciężają. Liczba ich obecnie coraz bardziej się zmniejsza. Dawniej w Rio Grande zdarzały się często walki pomiędzy kolonistami a dzikimi. W roku 1835 wymordowano bez litości mnóstwo biednych Indyan. Dzicy w odwecie zamordowali paru mężczyzn, kilka zaś kobiet i dzieci uprowadzili w niewolę.

Podług ogólnego mniemania, większa część Indyan schroniła się w ostatnich latach do stanu Santa Catharina, przed dwudziestu pięciu zaś laty, całe hordy dzikich, złożone z kilkuset ludzi, koczowały w niedostępnych dla białych lasach.

Przed kilku laty Indyanie nad rzeką Rio dos Sinos zabili jakiegoś człowieka. Natychmiast więc kilkunastu Brazylijczyków puściło się za nimi w pogoń i dowiedziawszy się, że Indyanie śpią w jakiejś rancho, czyli chacie w lesie, wymordowali tam o świcie 47 osób. Pewna dziewczynka indyjska spróbowała ocalić się ucieczką, ale ją po chwili schwytano i w nieludzki prawie sposób nożami poćwiartowano.

Wobec takiego okrucieństwa, dzicy schronili się w głąb puszcz nieprzebytych, gdzie jeszcze nie postała noga białego człowieka.

W lasach napotyka się także mnóstwo Indyan osiadłych, prowadzących spokojny żywot, mieszkających w nędznych szopach i trudniących się sprzedażą suszonej herbaty mate z liści paraguajskiego herbacianego drzewa — herba. Za 15 kilogramów tej improwizowanej herbaty płaci się od dwóch do trzech marek. Dokoła

chaty biedni ci ludzie uprawiają trochę kukurydzy, aby się zabezpieczyć od śmierci głodowej. Jak wielka wśród nich panuje nieświadomość i ciemnota, o tem nie można mieć nawet przybliżonego pojęcia. Pod tym względem chyba tylko napół dzicy pasterze z preryi mogą współzawodniczyć z tymi nieszczęśliwymi.

Natomiast pomiędzy Indyanami oddawna osiadłymi na roli znaleźć można ludzi prawdziwie wykształconych, chociaż ich mieszkania i cały tryb życia patryarchalną odznaczają się prostotą.



Kolonia polska w pobliżu Kurytyby.

III.

Jak na obczyźnie w tych zamorskich koloniach polskich potrzebni są kapłani—pocieszyciele, świadczy o tem list, nadesłany do redakcyi „Misyi katolickich“, który przytaczamy:

W naszych smutkach i troskach wiadomość, że może do nas biednych zawitają kapłani, jak balsam na zranione serca spłynęła. O, bo też kapłanów nam bardzo potrzeba! Materyał to dobry i poczciwe ludziska ci Polacy w Brazylii i możnaby wiele z nich zrobić, a tak marnieje to wszystko i ani Bóg, ani ludzie pociechy z nich nie mają. Sama nasza kolonia liczy 10,000 dusz, a oprócz tego są

kolonie, żadnych niemające kapłanów, a liczące po 3,000 Polaków. Jest więc żniwo obfite, brak nam tylko żniwiarzy.

Gdy naszym wychodźcom oznajmiłem tę szczęśliwą wieść, że i do nas kapłani przyjadą, tak się tem ucieszyli, że od jednej kolonii do drugiej biegali, zwiastując wszystkim, choćby tylko nadzieję przyjazdu. Z tego samego można już poznać, jak ci ludzie żądni są nauki Chrystusowej. I zaraz rozpoczęły się pogadanki, gdzieby pierwszą Misyę urządzić i t. d.



Brazylia: W podróży z kolonii do Kurytyby.

Oto, co się bez kapłanów dzieje. Wszędzie po wszystkich nawet protestanckich krajach święcą niedziele i święta, tu zaś do samego południa pracują nawet gorliwiej, aniżeli w inne dni. Ciekawy jest tu zwyczaj. U nas w Europie kowal, ślusarz, blacharz, rzeźnik i t. d. wywiesza przed domem szyld, oznajmujący przechodniom o towarach, których w takim domu nabyć można, lub o rzemieślnikach, którzy temu lub owemu rzemiosłu się oddają. Tu zaś nie napotkasz żadnych szyldów, żadnych ogłoszeń. Za to w niedziele i święta, kiedy więcej ludzi wolny czas mają i wałęsają się po

mieście z jednego kąta w drugi, siedzą wszyscy rzemieślnicy przy swoich warsztatach i z największym hałasem, stukiem i hukiem pracują, aby zwrócić uwagę przechodniów na siebie. — Krawiec naprzykład siedzi w oknie i szyje, krzyczy przytem na swych czeladników, ci znowu na chłopców, tak że z tego krzyku piekielny hałas powstaje.

Słysząc to, stają przechodnie i wiedzą, że przez te krzyki anonsuje im krawiec swoje wyroby. Tam znów blacharz z całej siły



Brazylia: Na skraju puszczy.

bije młotem o blachę i niby coś naprawia, a właściwie chce tylko przechodniom oznajmić: tu mieszka blacharz!

I tak sobie radzi każdy rzemieślnik! Jest tu jedna ulica, przy której prawie sami przemieszkują rzemieślnicy. Zamienia się ona w niedziele i święta w istne piekło: taka tam wrzawa, takie krzyki i hałas.

A ludzie z okolicy i z miasta skupiają się koło tych kramów i chociaż kościół na miejscu, wolą raczej słuchać kłótni i wrzasków rzemieślników, niż zważać na głos dzwonów i pospieszyć, by Bogu

cześć oddać. To też i nie dziw, że o życiu moralnem, nie mówię już chrześcijańskiem, często wyobrażenia tu nie mają. Dziecko sześcioletnie już rodziców słuchać nie chce, a młodzież raczej wszystkiem innem zajęta, niż Bogiem i religią. Wyzuta z wszelkiego uczucia moralności myśli tylko, jakby Boga obrażać i do dawnych grzechów nowe dodawać.

Smutne to, ale na nieszczęście prawdziwe, że sami rodzice, mało zasileni nauką Chrystusową, nie znają wielkości obowiązków swych względem dziatek. Wyrasta dziatwa, jak dziczki w lesie i dlatego też zawczasu zaczynają już rodzice zbierać opłakane owoce krnąbrności, nieposłuszeństwa i wzgardy dla siebie. Widzicie więc, jak nam kapłanów potrzeba, by się mogli zająć tymi biedakami, którzy dlatego prawdziwie grzeszą, „bo nie wiedzą, co czynią“.

Myślałem nad tem, jakby mym współbraciom przyjść w pomoc, ażeby przynajmniej nieco otrzęśli się z tej niewiadomości w rzeczach najważniejszych. Widziałem Niemców tutejszych: małe to liczebnie siły w porównaniu do nas, ale dziwnym zmysłem od Boga obdarzone. Ażeby podtrzymać w sobie ducha odpowiedniego, zaczęli wydawać gazetę i postawili na swojem. Poszedłem więc po rozum do głowy. Myślę sobie: i nam się to udać może i w ten sposób dojdziemy do tego, czego nam najwięcej brak. Ale nie tak to łatwo z nami! Zabrałem się do redakcyi dziennika, wydrukowałem pierwszy numer, rozdałem go naszym współbraciom, zachęcając ich, by datkami swemi przyczynili się do utrzymania tej gazetki, robiłem jednem słowem wszystko, by dojść do upragnionego celu. Nie udała mi się sztuka! Co prawda, brak nam najważniejszej rzeczy: trochę brzęczącej monety... To też o to rozbiły się wszystkie marzenia moje.

Jeżeli więc możecie, uzupełniajcie niedostatki nasze, przysyłajcie nam książki do nabożeństwa i żywociki Świętych Pańskich, a ten Bóg, dla którego sprawy braci waszej pomożecie, sowicie wam to wynagrodzi.

Zupełnie są inne u nas zwyczaje, aniżeli nasze zwyczaje polskie; człowiek bowiem w obczyźnie przebywający, mimowoli nabiera zwyczajów i obyczajów tych, wśród których mieszka i chociaż sobie sprawy z tego nie zdaje, zwolna niemi zupełnie nasiąka.

U nas naprzykład w kraju pogrzeby odprawiają się o ile możności okazale. Ksiądz na czele orszaku postępujący, wiedzie nieboszczyka na miejsce odpoczynku, a krzyż przed wszystkiemi niesiony wskazuje, że Ukrzyżowany śmierć pokonał; może więc umar-

ły, jeżeli ufał jego łasce i miłosierdziu za życia, spodziewać się nagrody po śmierci. Za trumną postępuje rodzina zmarłego i znajomi, a jęk dzwonów i żal nad zmarłym wyraża i przypomina drugim obowiązek modlitwy za co dopiero zgasłym bliźnim.

Tu wszystko inaczej się dzieje! Pogrzeby czy to katolików, czy protestantów, czy bogatych, czy ubogich, Brazylijczyków, czy kolonistów, w najciekawszy, a do tego dziwny odprawiają sposób. Za trumną napróżno szukasz najbliższej rodziny zmarłego! Jej nie wolno towarzyszyć orszakowi pogrzebowemu. Nie wiem dlaczego, ale choć o tak poważnej mówię rzeczy, mimowoli myśl się nasuwa, że chyba za karę pozostać musi w domu, iż pozwoliła komuś ze



Polacy wychodźcy na pokładzie okrętowym w drodze do Brazylii.

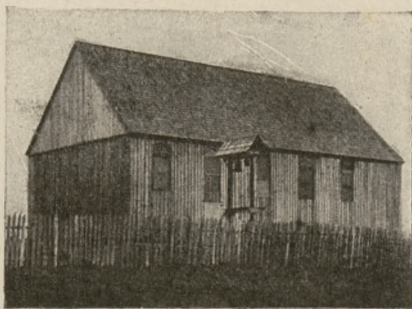
swoich zejść z tego świata. Stąd też nie usłyszysz na żadnym pogrzebie płaczu i z pewnością z obecnych nikt łzy za zmarłym nie uroni. Za to na drugi dzień wolno rodzinie pospieszyć na cmentarz, pomodlić się nieco i złożyć wieniec na grobie. Ciekawą także jest rzeczą, że kobietom nie wolno wcale się przyłączać do orszaku pogrzebowego. Ale na tem nie dość. U nas pogrzeb postępuje zwolna z całą powagą i majestatem, tam zaś (bo majętniejsi piechotą nie pójdą, ale jadą na wózkach amerykańskich), pędzą jak szaleńcy i raczej myślałby kto, że to na jakie wesele jadą, niż że na cmentarz nieboszczyka wiozą. — Okropne wyboje w drodze i ta

szalona jazda niemało przyczyniają się do tego, że jadący za trumną na miejsce pogrzebu na wpół żywi przyjeżdżają.

Ksiądz zwykle pogrzebu nie prowadzi; jeżeli bierze udział w grzebaniu ubogich, idzie wśród innych zupełnie po cywilnemu ubrany. Wogóle wszystko nosi na sobie cechy jakiejś świeckiej ceremonii. Jeden chyba tylko woźnica w grubej, bo naturalnej żałobie na koźle siedzący — czarny murzyn, przypomina widzom, że to nieboszczyka wiezie na cmentarz.

Nie dzwonią tu nigdy, by ogłosić wiernym, że ten lub ów przeniósł się do wieczności, wychodząc z tej zasady, że umarły tego nie słyszy i na nic mu się to nie przyda, a pozostałych na niepotrzebne naraża koszta. Prawdziwie po amerykańsku!

Takie tu zwyczaje przy grzebaniu umarłych. Nam, Polakom bardzo przykro, że musimy się do nich zastosować, ale cóż robić?



Brazylia: Kościołek kolonistów polskich w jednej z mniejszych osad pod Kurytybą.

Gdybyśmy chcieli pogrzeb tak urządzić, jak u nas w Polsce się odbywa, byłyby z tem nazbyt wielkie koszta połączone, co wszystkich odstrasza. W przyszłości zmienić to będzie trzeba i zmieni się z pewnością.

Co się tyczy naszych ziomków — tych doświadczenie, styczność z ludźmi handlującymi, sprytnymi, obytymi ze światem, oświata wszystkim jednakowo przystępna, wiele rozumu nauczyły. Wiele rzeczy, które za morzem tylko po książkach, rycinach widzieć można, albo o których z opowiadania, jak o żelaznym wilku, słyszał — on tu do ręki bierze. W starej Grecyi i Rzymie prawa i wymowy można się było na rynku nauczyć, a perypatetycy, krę-

cąc się po ulicach, swoim popularnym wykładem do filozofii przechodniów zapalali. Tu coś podobnego. Tu wszystko na widoku, tu każdy ma wszystko w gazetach, których żaden robotnik i posługacz wszelaki, w wolnej chwili, na kolei, w tramwaju, z rąk nie wypuszcza. Sam widziałem u polskiego proboszcza dwie różne gazety codzienne na pościeli furmana w stajni, które tenże polski furman stale prenumeruje. Płaci po cencie od pojedyńczego numeru. Tu wszystko ma na mityngach i wiecach, w teatralnych przedstawieniach, w których sami parafianie czynny udział biorą w hali osobnej przy każdym prawie kościele pod dyrekcyą proboszcza lub jego asystenta (wikarego). Tu każdy nolens volens, mimowoli, płynie z prądem ogólnego postępu. Polak do każdej zdolny pracy. Sami Amerykanie przyznawają: „Polak — mówią — wszystko weźmie w rękę, prócz rozpalonego żelaza.“ Naturalnie, nie na to weźmie,



Brazylia: Szkoła polska.

aby nie oddać, ale na to, aby jak najlepiej wykonać, ogólny ruch wspierać i samemu się kształcić.

Już zwyczajna elementarna szkoła, w swoim zakresie dość szeroko rozwidnia horyzont umysłowy. Szkoła parafialna, to prawdziwa cieplarnia pięknych kwiatów nietylko religijnych, ale i narodowych. Pewien polsko-europejski podróżnik, skądinąd światły człowiek, tak się o niej w swych notatkach wyraził: szkoła parafialna w Ameryce ma tylko ten cel, aby dzieci do pierwszej Komunii świętej przygotować. Mocno poczciwca żałuję, że prawdopodobnie polegając na błędnej informacyi, sam rzeczy głębiej nie zbadał. Że w zakresie katechizmowym taż szkoła tak dzieci kształci, jak rzadko która w starym kraju, to się chyba my, misyonarze, co się ciągle w naszej duchownej pracy z dziećmi stykamy, kompetentnego

sądu w tej mierze nie zrzekamy. Nasze zdanie potwierdzają rodzice, przybyli z Europy, którzy wśród ciągłych westchnień i żalu, przy każdej sposobności tak się nam wynurzają: „Nas tak starannie w szkole nie uczono o cnocie i o Bogu, jak te tu nasze dzieci — my się od nich uczymy...“ W religijnem wykształceniu trudności żadnej niema, bo zakonnice (SS. Felicyanki, Nazaretanki, Franciszkanki i inne), w których ręku przeważnie szkoła parafialna spoczywa, i słowem i przykładem dają kierunek jak najlepszy. O świecką chodzi naukę. Na co sobie wiele łamać głowę, na co długo szperać w podręcznikach i programach szkolnych, na co przysłuchiwać się odpowiedziom dzieci po klasach? Wszystko to nieraz i nie na jednem miejscu było przedmiotem naszego miłego spostrzeżenia. Wystarczy wziąć do ręki publiczne sprawozdanie z wystawy chicagowskiej, gdzie rządowa komisya (a więc bezparcyalna), nie ignorując bynajmniej rozwoju szkół publicznych, parafialne szkoły pod względem naukowym szczególną pachwałą odznaczyła. Przecież to dowód silny!

Co więcej powiem! Szkoła parafialna, to ziarno i rdzeń polskiej narodowości w Ameryce! Podkopać jej byt, to znaczy uderzyć w samo serce polskości. Każde dziecko lepiej włada językiem angielskim niż polskim, bo wszędzie atmosfera amerykańsko-angielska. Wystarczy raz posłuchać w kościele, jak dziatwa odmawia na głos, choćby tylko „Ojcze nasz“. To nie nasza wymowa. Recytują to dzieci, jakby miały orzechy w ustach. Dzieci nietylko, że lepiej mówią po angielsku, ale chętniej, jeśli są same. Spostrzegaliśmy nieraz, obserwując je przy zabawie, sami niespostrzeżeni. A nietylko polska, ale i innych narodowości młodzież gra na tę samą nutę: w północnej Ameryce język angielski wszystko zabarwia, swobodnie wszędzie wsiąka, a może właśnie dlatego, że swobodnie.

Polskie więc duchowieństwo (jak i innych narodów) przez szkoły parafialne nie stawia bynajmniej tamy ogólnemu prądowi angielszczyzny, który w swym biegu niejedno ziarnko złota naniesie, a zatrzymać się nie da, bo „nec Hercules contra plures“ — ale co czyni? Obok rozległego łożyska angielskiego prowadzi inny strumyk, narodowy, ojczysty, który, jeśli gwałtownych przeszkód nie będzie, nie prędko wyschnie.

Cała przyszłość polskości i jej rozwój w rękach księży polskich i szkół parafialnych spoczywa. To nietylko moje, ale ogólne zdanie ludzi zdrowo myślących. Rozlecą się te szkoły — rozlecą się i dzieci i utoną w ogólnym zalewie cudzoziemszczyzny, albo też ję-

zyk polski, który już teraz na wielu ustach i w wielu gazetach niezbyt poprawnie się przedstawia, przemieni się w pstrokatą gwarę, której ani rodzona matka nie pozna. Może gazety polskie podtrzymałyby ognisko narodowe? — Gdym to pytanie postawił pewnemu, gorliwemu a rozumnemu patryocie, rzekł: „Tak! Po gazetach w każdym kąciku tłustemi literami piszą: uczcie dzieci po polsku! W domu zaś z dziećmi tylko po angielsku szczebiotają i na amerykański zakrój wychowują.“ Zresztą — dodał — któż je będzie czytał, skoro każdemu oko zajdzie angielszczyzną? Może nowi przybysze z Europy? Ci, albo nie znają się na piśmie, albo jeśli się znają, za



Brazylia: Poświęcenie krzyża w kolonii polskiej.

rok lub dwa, kiedy porosną w piorka i nauczą się po angielsku, będą na polski patrzyć, jak na pasierba. Oni za chlebem przyszli. Był tu — ciągnął dalej ów obserwator na potwierdzenie swego sądu — bardzo inteligentny Polak i wiele się ruszał w początku na polu ojczystego języka i tradycyi. Pobył lat kilka, a zajęty sprawami swego zawodu, które tylko języka angielskiego wymagały, stracił wprawę w polskim. Przybył na polski mityng z zapowiedzianą mową. Wypalił parę zdań, których się lepiej wyuczył i nagle zająknął się — ugrzązł na równej drodze. Jąka się, ksztusi, mści się na wąsach, naciągając je nielitościwie, a kiedy na nowo

zebrał myśli: „Bo to — mówi — panowie, nie da się ta rzecz w naszym, pięknym, polskim języku tak dobrze wyrazić...“ i jak wpadł w angielszczyznę, tak nią dobił do końca.“

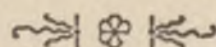
Oto obraz piękny, bardzo piękny, ale miejmy nadzieję, że wkrótce będzie należał do przeszłości. Polacy w Ameryce pozostaną Polakami na zawsze.

(D. c. n.)



W dzień Wniebowstąpienia.

Stanęła, by więdnący, blady kwiat
Z rozpaczą w łonie...
W obłoku tonął szczęścia Jej świat
W Aniołów gronie.



Gdy niebo tam weselem całe drży
Witając Boga,
Przed Maryą tylko łzy i łzy
I bólów droga...

Elwira Korotyńska.

Order Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i Królewska Kongregacya Maryańska w Polsce za króla Władysława IV, r. 1634—1642.

I.

Wiadomo, że nauka o Niepokalanem Poczęciu Matki Bożej dopiero 1854 r. przez Piusa IX, jako dogmat wiary ogłoszoną została. Pomimo to Jezuici i inni najzawołańsi teologowie wyznawali tę naukę i wiedli długie, uczone spory z teologami przeciwnego obozu, który opierając się wrzekomo na powadze świętego Tomasza z Akwinu i Szkota, przywileju tego Matce Bożej przyznać nie chcieli. Papież Paweł V, aby tym niebudującym sporom koniec położyć, wydał 1616 breve, zakazujące pod karą kościelną wszelkiego publicznego wystąpienia nietylko w kazaniach, ale nawet w prelekcyach i dysputach teologicznych przeciw nauce o Niepokalanem poczęciu Najświętszej Maryi Panny, owszem, polecił naukę tę wykładać w szkołach, nie potępiając jednak przez to nauki przeciwnej. Grzegorz V rozciągnął zakaz powyższy 1621 r. nawet do rozmów i pism prywatnych.

Wyzyskali tę okoliczność Jezuici, a będąc kaznodziejami i spowiednikami na dworze wiedeńskim, nakłonili cesarza Ferdynanda II do założenia 1619 roku „Zakonu rycerskiego na cześć Niepokalanego Poczęcia *Ordo militiae christianae in honorem B. V. M. immaculate conceptae.*“ Oprócz wielu panów niemieckich, zapisali się do tej milicyi Polacy; Albrecht Radziwiłł, Jerzy Lubomirski, Łukasz Opaliński, Konopacki i Leśniowolski. Zakon ten rycerski, oprócz bronienia czci i przywileju Niepokalanego Poczęcia Maryi, miał jeszcze na celu walkę na życie i śmierć z „sprośnym pohańcem“ z Turkami pod egidą Maryi.

Niedługo potem Karol, książę Nevers i Mantuy, zakłada w tymże podwójnym celu order i bractwo „Żołnierki Chrystusowej na

cześć Niepokalanego Poczęcia: *Militia Christiana in honorem Virgineae Conceptionis*, które Urban VIII pochwalił i zatwierdził 1624 r. Równocześnie pobożny nasz król Zygmunt III prosi Urbana VIII, „aby chwałę Niepokalanego Poczęcia papieskim wyrokiem zatwierdził,“ czyli jako dogmat wiary ogłosił. Papież wprawdzie odmówił brevem 13 lipca 1624 r., „bo jeszcze światło Ducha świętego nie zabłysło papieżowi, odsłaniając ludziom tę niebieską tajemnicę,“ ale już 3 sierpnia tegoż roku donosi Zygmuntowi, że wzgląd mając na to, jak strasznie we znaki daje się potęga turecka chrześcijaństwu a zwłaszcza krajom północnym, których król polski ozdobą i Kościoła warownią, zatwierdził i powagą papieską umocnił bractwo rycerskie ku czci Niepokalanie Poczętej Maryi Panny założone przez księcia newerskiego i że dla dobra i obrony Kościoła, pragnie dla tych rycerzy Maryi uzyskać pomoc i opiekę królów i książąt i dlatego prosi króla Zygmunta, ażeby wyznaczył „jednego z polskich panów, powagą i cnotą znamienitego, którzyby także rycerskie bractwo w Polsce zawiązał.“

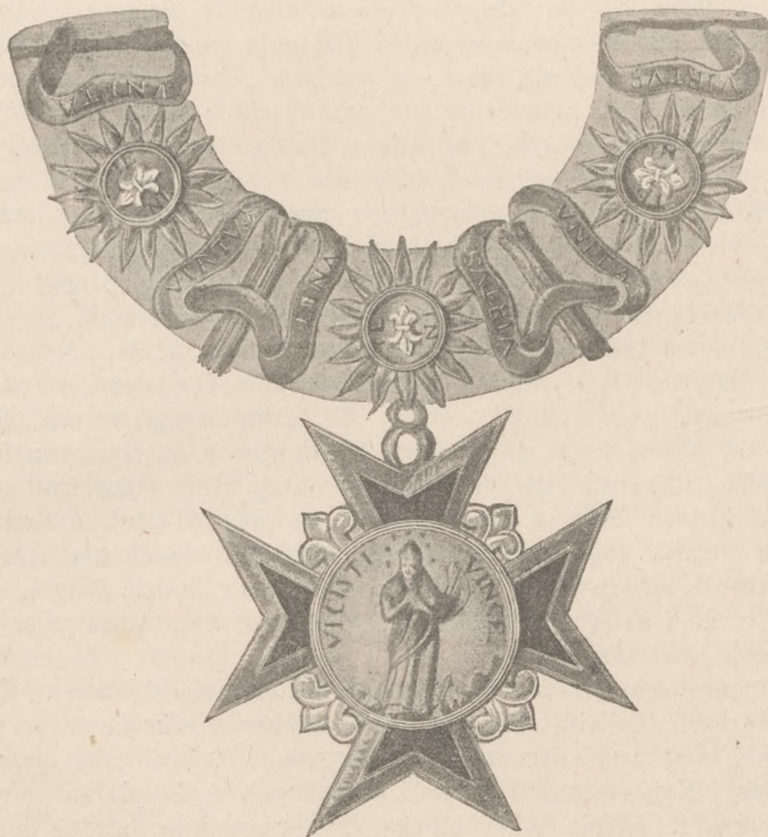
Nieskory do nowości król i zaskoczony wojną szwedzką, a potem starością niedołężny, pomimo wezwania papieża, zaniedbał sprawy.

Wznowił ją syn i następca jego, król Władysław IV i gotowe już statuta, zredagowane przez Ossolińskiego przy pomocy nadwornego Jezuity Przyborowskiego, oddał temuż Ossolińskiemu, gdy posłował do Rzymu, aby zatwierdzenie papieskie na nie uzyskał. Order stanowił krzyż ośmiokątny czerwony, z białą płaskorzeźbą Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w pośrodku. Kawalerowie nosili go na złotym łańcuchu na piersiach; czapka biała nasadzona złotem, z wizerunkiem Niepokalanego Poczęcia na przodzie, płaszcz biały, podbity czerwoną kitajką, okrywający rycerską zbroję, dopełniały stroju kawalera Maryi. Urban VIII zatwierdził statut 1634.

Co spowodowało króla do ustanowienia tego orderu?

Zapewne chęć oddania czci i kultu Niepokalanego Poczęcia Maryi, bo król podówczas począł wracać do praktyk religijnych i dawnej pobożności, ale grały tu rolę także względy polityczne. Nosząc się już wtenczas z wielkimi planami wojny tureckiej, czuł dobrze, że do ich przeprowadzenia potrzeba mu stworzyć silną partyę dworską. „Kawalerzy Maryi, a miało ich być oprócz króla, jako wielkiego mistrza, 72 z najprzedniejszych panów polskich i zagranicznych związani z królem przysięgą, iż „pod opieką Królowej niebios za Boga i ojczyznę walczyć będą“, potężni wpływem i bogac-

twem, już tem samem stać muszą przy królu i wojenne, zarówno jak polityczne jego zamiary popierać. Ten rzeczywisty cel orderu osłaniał król względami przyzwoitości, że skoro królowie polscy od



Order polski Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

obcych monarchów ordery, np. Złotego Runa przyjmują, to wypada, ażeby nadaniem orderu Niepokalanego Poczęcia mogli się odwzajemnić.

Dwunastu najcelniejszych w kraju senatorów, między nimi Stanisława Lubomirskiego, wojewodę ruskiego, Stanisława Koniecpolskiego, hetmana wielkiego koronnego; Albrechta Radziwiłła, kanclerza wielkiego litewskiego; Aleksandra Radziwiłła, marszałka wielkiego litewskiego; Kazimierza i Andrzeja Sapiehów; Ossolińskiego, wojewodę sandomierskiego; oraz królewicza Jana Kazimierza zaprosił król do przystąpienia do kawaleryi osobnemi listami. W lipcu 1637 rozeszła się po kraju wieść o nowym orderze i kawaleryi i wywołała ogólne niezadowolenie. Szlachta czuła instynktowo, że to przeciw niej bicz się kręci, że każdy z „kawalerów" stronnikiem dworu będzie i do zgniecenia lub umniejszenia złotej wolności przyczynić się może, że order w wolnej Polsce, to nowość niesłychana, obalająca równość szlachecką; szemrała więc i drwiła z kawalerów, a na króla, jako twórcę orderu, gniewała się srodze. Więc też i magnaci, wrażliwi na opinię szlachty, a zwłaszcza Koniecpolski i Lubomirski, pierwsze powagi w kraju, nie pochwalali orderu i królowi grzecznie, ale stanowczo zaprowadzenia go odradzali.

Odmowa tych dwóch senatorów zachwiała króla. Nadchodziły i inne listy w tym duchu. Królewicz Jan Kazimierz, który zrazu przyjął zaproszenie króla, cofnął się, „wspierając w tem szlachtę, która tej nowości nie pochwala." Różnowiercy, lutrzy, kalwini, bracia czescy otwarcie się tym orderem brzydzili. Więc król ustanowienie orderu odłożył na później i za radą Albrechta Radziwiłła polecił statuta tego orderu obciąć, aby nic w nich nie było, coby podejrzenie lub zazdrość u panów i szlachty budzić mogło. Przez dwa dni 20 i 21 września 1637 r. „obcinano" te statuta w mieszkaniu Jana Kazimierza.

Tymczasem herszt różnowierców, hetman wielki litewski, Krzysztof Radziwiłł, kalwin, najprzód na posłuchaniu u króla, potem w drukowanej broszurze przedstawił „Rationes (18 powodów) przeciwko kawaleryi Najświętszej Panny" i w licznych egzemplarzach rozrzucił po kraju. Wiele z tych „racyi" przypadało bardzo do gustu szlachty. Na nic się nie przydał „*Respons* na *rationes* przeciwko kawaleryi", pióra podczaszego koronnego Ostroroga. Siła innych skryptów i mów uszczypliwych rozdawano po publicznych zjazdach, bankietach i domach szlacheckich. Wobec powszechnej niechęci i uprzedzenia, król odłożył termin erekcyi orderu na 8 grudnia 1637 r., a potem, za radą prymasa Wężyka i innych senatorów, na czas nieograniczony.

Rozzuchwaliło to do reszty szlachtę; na sejmikach, poleciła posłom swym na sejm 1638 r. „tego się seryo od Jego Królewskiej Mo-

ści domagać, aby od instytuowania tej kawaleryi supercedował.“ Król, chociaż w październiku 1637 r. podpisał dyplom erekcyjny orderu „Kawaleryi“ Niepokalanej Panny Maryi, przyparty przez posłów na sejmie 1638 r., wystawił dyplom kasacyjny: „ponieważ niektórych niewinna ta pobożność moja nabawia nieuzasadnionej trwogi, aby... nowy ten zakon nie groził kiedyś zgubą wolności... przeto założenie tego zakonu znosimy.“

II.

Jezuici, którzy w upadku projektu orderu Niepokalanego Poczęcia nic innego nie widzieli, tylko krzywdę, wyrządzoną czci Najświętszej Panny, wnet sobie tę porażkę powetowali. Korzystając z znacznego zjazdu panów na blizki sejm warszawski, założyli w sam Nowy Rok 1642 przy swym kościele w Warszawie maryańską kongregacyę Niepokalanego Poczęcia. *Sodalitatem Marianam Immaculatae Conceptionis B. M. V.* Odrazu, za przykładem króla Władysława, zgłosiło się do niej tak wielu panów, dworzan i najprzedniejszych obywateli, że ją na trzy części: polską, niemiecką i włoską podzielić było potrzeba. Po uroczystej mszy świętej, w obecności królewskiej pary, dworu i dostojnego grona najznakomitszych osób, wstąpił na ambonę O. Jerzy Schoenhof, Polak z Prus Królewskich, teolog podówczas nadworny i spowiednik królowej, a wytłumaczywszy cel i statuta tej kongregacyi, wezwał obecnych do wpisu i ślubowania, iż bronić będą honoru Maryi w jej najpiękniejszym przywileju Niepokalanego Poczęcia, choćby krwią własną. Pierwszy wpisał swe imię własnoręcznie król Władysław i złożył, klęcząc przed obrazem Niepokalanego Poczęcia Maryi, ślubowanie. Po nim dom królewski, królowa Cecylia, bracia królewscy, Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, siostry królewskie, Anna, Katarzyna i Konstancya. Za nimi prymas Maciej Łubieński z biskupami; senatorowie świeccy według porządku zasiadania w senacie, wreszcie inni przedniejsi panowie.

Honorowi Maryi stało się zadosyć, rycerze niedoszłej „Kawaleryi“ znaleźli się w kongregacyi Niepokalanego Poczęcia i chociaż bez orderu, z medalionem tylko Niepokalanego Poczęcia Maryi na piersiach, mogli spełniać te same rycerskie obowiązki względem Boga i ojczyzny, jakie statut „Kawaleryi“ przepisywał. Ponieważ jednak do tej kongregacyi przystąpiła rodzina królewska, ponieważ

pierwszym jej prefektem był Król Jegomość, asystentami królewicze, przeto kongregacya ta nazwana „królewską“ *Regia Sodalitas.*

Utrzymała się w swej świetności i nazwie do wojen za Jana Kazimierza; z abdykacyą jego 1668 r. upadła. Wskrzesił ją i nazwę królewskiej przywrócił marszałek wielki koronny Józef Mniszech, obrany 1714 r. prefektem, ale hulaszczy król Fryderyk August Sas I i rezydujący zazwyczaj w Dreznie syn i następca jego Sas II, nie nadawali się na prefektów Kongregacyi Maryańskiej, ani ich dworzanie, przeważnie Niemcy, na Sodalisów Maryi. Więc też nazwa „królewskiej“ znikła, ale kongregacya Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny pozostała aż do zniesienia Jezuitów i zamknięcia ich kościoła Matki Boskiej w Warszawie przez oficyała biskupiego Cieciszewskiego, d. 9 listopada 1773 roku.

Nowy Sącz 24 kwietnia. *ks. Stanisław Załęski.*



ZŁOTE MYŚLI.

Wy, Polacy, nie trwóżcie się i nie rozpaczajcie, a wierzcie, że ludzkość nie przez oszustwo kilku ludzi, ale przez spokojne, a cierpieniem od Boga otrzymane powolne rozwinięcie się prawdy postępuje, sprawie Bożej służąc, trzeba przysiądz prawdzie, a sił dobyć z miłości.

Niema stanu, któryby nie miał swych goryczy, niesmaków, lecz nie trzeba zniechęcać się przeciwnościami, a iść dalej w imię Boże.

Z księgi wielkich wydarzeń dziejowych.

Krzyż i Półksiężyc.

IV.

W pierwszych dniach lutego 1453 roku ruszono z olbrzymiem działem pod Konstantynopol; pięćdziesiąt par wołów wlokło z trudem ciężką machinę, po obu zaś stronach postępowało dwustu ludzi, aby ją w równowadze utrzymać; przodem szło dwustu pionierów i pięćdziesięciu cieśli, którzy równali drogi i stawiali mosty na całej przestrzeni; odległość między obu stolicami zaledwie dwa dni drogi wynosi, działo Hurbana odbywało ją przez dwa miesiące.

Karadża-beg dowodził tą wyprawą, a korzystając z powolnego pochodu, przebiegał wciąż na czele lotnych hufców okolice greckiej stolicy, zdobywał odosobnione warownie. Już wieża świętego Stefana i zamek Epibalos poddały się Turkom, jedna tylko Selimbrya, zaufana w grubości murów i niezłomnym duchu obrońców, pomimo, że grożono załodze wycięciem w pień, natrząsała się z potęgi bisurmanów.

Na nieszczęście w chwili, gdy straszliwy wróg zbliżał się pod mury stolicy, w łonie jej wrzały spory religijne, rozdwajając słabe siły obrońców.

Sułtan, wyruszywszy z całą potęgą w dniu 23 marca, stanął 5 kwietnia pod Konstantynopolem i w odległości 2,500 sążni rozbił namioty.

Chcąc zrozumieć dalszy przebieg walki, należy wprzód poznać położenie i środki obrony miasta.

Konstantynopol, równie jak Rzym wznosi się na siedmiu wzgórzach, zalegających wschodnią kończynę Tracyi. Z dwóch stron

oblewają go dwa morza, a słaby mur osłania. Z południa Propontis (morze Marmora), z północy Czarne, a oba łączą Bosfor, czyli starożytny Helespont, przy południowem jego ujściu roztacza się obszerna przystań, mogąca niezmierną pomieścić flotę; zakrzywiony półwysep, który ją otacza, nazywają *Złotym Rogiem*. Samo miasto stanowi trójkąt z dwoma bokami, długiemi na milę i oblanemi morzem. Bok trzeci, również długi, zasłonięty był wówczas podwójnym wałem i murem, bocznemi wieżami umocnionym. Na każdym z trzech kątów wznosiły się trzy potężne zamki; nad morzem twierdza świętego Demetryusza, na jednym końcu *Cynegion*, na trzecim *pentapyrgion*, później zwana zamkiem Siedmiu wież, czyli Jedykułą.

Zanim jeszcze Turcy nadciągnęli pod miasto, zamknięto przystań ogromnym łańcuchem, który wielkie kłody utrzymywały na powierzchni wody: jemu to już kilkakrotnie zawdzięczała stolica swoje ocalenie; obadwa końce umocniono wewnątrz twierdzy, a w zatoce stanęło dziewięć największych okrętów dla obrony.

Cała flota grecka składała się z dwudziestu sześciu okrętów, między któremi cztery weneckie, cztery genueńskie, a reszta bizantyńskie; dowodził nią Antonio, kupiec wenecki.

Zaraz nazajutrz po rozbiciu namiotów, Turcy zbliżyli się o półtora tysiąca sążni ku murom miasta, a po odprawieniu modłów piątkowych, zajęli stanowiska naznaczone przez sułtana. Wojska ich regularne i nieregularne wynosiły prawdopodobnie około 200,000 ludzi; artylerya, oprócz olbrzymiego działa i czterech wielkich, liczyła czternaście bateryj oblężniczych; miny, z wielką dla Greków szkodą, prowadzili górnicy serbscy.

Do wojowników zgromadzonych przez sułtana przyłączyło się mnóstwo derwiszów, imanów i innych fanatyków, wrzących chęcią zdobycia stolicy chrześcijańskiego cesarstwa wschodniego, co od lat stu było najgorętszem życzeniem Mahometan.

Ponieważ główny atak Turków miał nastąpić od strony lądu, przeto obsaczono mur wielki od końca do końca. Mahomet rozbił swój namiot na przeciwko bramy świętego Romana, otoczywszy się 15,000 janczarów stanowiących jądro jego siły. Na prawem skrzydle stały hufce anatolskie, lewe zajęła armia rumelska. Karadża-beg i Zaganos-basza, z kilkunastu tysiącami, jak sępy wietrzące ścierwo, zawiesili się na wzgórzach panujących nad Galatą, w odwodzie o ćwierć mili za pierwszą, stała druga armia również potężna.

Flota niewiernych stworzona przez Mahometa liczyła trzysta kilkadziesiąt okrętów, nierównie większa liczba statków przewozo-

wych szła jej z pomocą. Kapudan-basza, Bałta-Oglu, renegat bulgarski, wiódł siły morskie [1]).

Genueńczycy zamieszkujący przedmieście Galata podczas całego oblężenia nosili płaszcz na dwóch ramionach, a postępowanie ich było nikczemne; ani jednej, ani drugiej stronie niepomagając szczerze, tam tylko nieśli swe usługi, kędy ich albo trwoga, albo też zyski gnały. Jeszcze przed wyruszeniem Turków w pole, posłowie genueńscy przybyli do Adryanopola, ofiarując sułtanowi swą przyjaźń, Mahomet przyjął ich niby dobrze, ale surowo zakazał, by nie ważyli się pomagać Grekom; znał jednak dobrze kramarskiego ducha tego narodu i był pewnym, że temu będą służyć, kto im lepsze zapewni zyski.

Tymczasem Konstantyn, gotując się do zaciętego oporu, postanowił ściśle obliczyć siły, któremi mógł rozporządzać; jakaż była jego rozpacz, kiedy okazało się, że wojowników greckich razem z mnichami i ochotnikami było ledwie 4,873, a cudzoziemców około 2,000. Tak więc siły chrześcijańskie nie dochodziły 7,000. Oprócz nich był jeszcze wyborowy hufiec Genueńczyków, złożony z 700 żołnierzy, których mężny Jan Giustiniani przywiódł na pomoc cesarzowi w początku stycznia.

Cesarz, najwaleczniejszy ze wszystkich Greków, chcąc jak najskuteczniej dowodzić obroną miasta od strony lądu, założył swą główną kwaterę przy bramie świętego Romana, naprzeciwko namiotu sułtana. Giustiniani stanął obok cesarza z 3,000 wyborowych żołnierzy, resztę rozrzucono w małych oddziałach wzdłuż murów miejskich; ale cóż ta garść znaczyła, kiedy do obrony rozległej stolicy, potrzeba było najmniej sto tysięcy ludu.

W dniu jedenastym kwietnia rozległ się grzmot olbrzymiego działa, dając hasło do rozpoczęcia kanonady. Wnet wszystkie bateryе zionęły ogniem, a najgęstszy grad kul walił w wieżę świętego Romana. Sułtan zawiódł się jednak na wynalazku węgierskiego mistrza, albowiem wielkie działo potrzebowało dwóch godzin do na bicia, a kiedy po raz drugi zahuczało gromem, zbyt silny nabój roztargał je w sztuki, a czerep urwany ugodziwszy Hurbana położył go trupem.

Rozżalony utratą armaty, na którą najwięcej liczył, Mahomet rozkazał natychmiast lać drugą, a tymczasem tem potężniej dogrzewał Grekom z dział pozostałych; lecz nieudolność puskarzy tu-

---

[1]) Renegatem zwie się chrześcijanin sturczony.

reckich, a z drugiej strony usiłowania oblężonych, umiejących obezwładnić siłę pocisków, chroniły miasto od gradu kul nieprzyjacielskich.

Na nieszczęście atoli chrześcijan pojawił się w obozie sułtana poseł węgierski z oświadczeniem, że wielkorządca Węgier dzielny Jan Hunyady, złożył swą władzę w ręce Władysława *Pogrobowca*, a zatem rozejm zawarty na lat dwa traci swe znaczenie. Mahomet przyjął go uprzejmie, a nawet sam oprowadzał po obozie, ażeby go zastraszyć potęgą turecką.

Kiedy stanęli naprzeciwko wieży świętego Romana, Węgier ujrzawszy niedołężność puskarzy tureckich, zawołał ze smutkiem:

— Potężny sułtanie, czy zamyślasz cały wiek strawić przy oblężeniu tego miasta?

— Dla czego? — zapytał Mahomet.

— Bo puskarze twoi zamiast rozwalać mury, odpędzają wiatr zasypujący oczy Grekom. Kto chce strzelać, powinien najprzód nauczyć się celować, nie tam mierzyć należy, gdzie się ma rzeczywiście ugodzić. I dla popisania się z swą umiejętnością wskazał puskarzom, jak strzelać mają, a odtąd kule tureckie srogie spustoszenie szerzyły w szeregach greckich.

Jednak i chrześcijańskie strzały lepiej mierzone straszne zadawały klęski w gromadach niewiernych; z drobnych dział strzelano kartaczami, druzgocząc pancerze janczarów, wielkie działa słały półtoracentnarowe kule. Armaty te jednak nieodpowiednie do murów zanadto je wstrząsały i niemałe własnym szeregom wyrządzały szkody.

Osobliwy widok przedstawiało oblężenie Konstantynopola; Mahomet bowiem, nie chcąc żadnego pominąć środka, obok niedawno wprowadzonej artyleryi, używał starożytnych machin wojennych, wyrzucających ogromne kamienie, belki i niezmierne włócznie, których grad mieszał się z nawałem kul i chmarą strzał łuczników; niezapomniano też ani o taranach, ani o greckim ogniu.

Po ukończeniu przekopów Turcy jęli się do zapełnienia rowu w miejscu przeznaczonem na szturm ogólny; faszyny, beczki, kłody wrzucano z taką gwałtownością, iż jeżeli który z pracujących stoczył się w rów, ginął zarzucony; robota jednak szła niesporo, bo co we dnie zrobili Mahometanie, to w nocy niszczyli Grecy.

Mahomet wtedy rozkazał zbudować ogromną wieżę z drzewa, przewyższającą o wiele wysokość murów: aby ją zasłonić od ognia greckiego, okryto potrójną zasłoną skór mokrych, na przodzie było drzwi troje, któremi wojsko i robotnicy wypadali. Na szczycie ustawiono parę dział, a przez gęste strzelnice ręczne strzelby za-

dawały Grekom większe klęski, niżeli cała artylerya turecka. U góry wisiał na łańcuchach pomost, jakby czekając chwili, kiedy za zbliżeniem się do murów spadnie i wysypie roje wojowników na miasto.

Przytoczono ją nad wieczorem po nad rów, prawie do wierzchu wypełniony faszyną, a Mahomet, udając się na spoczynek, niemógł długo zasnąć z radości, że jutro zawładnie stolicą Wschodu.

Nagle rozległ się trzask straszliwy, krwawa łuna blaskiem dnia rozwidnia noc czarną, zrywa się sułtan, wybiega przed namiot i spostrzega groźną wieżę w płomieniach. Rozjuszony, nieposiadając się z wściekłości, rzuca się na koń, a dopadłszy płonącej wieży mimo gradu kul greckich, siecze straże własne, za to, że nie dopilnowały, nie obroniły wieży od ognia giaurów.

Tak wszystkie dumne zamysły sułtana uleciały z dymem.

V.

O świcie 20 kwietnia, sygnały warowni nadbrzeżnej zawiadomiły Greków o ukazaniu się czterech okrętów na horyzoncie. Od strony Helespontu płynęła przodem jedna z galer cesarskich, a za nią posuwały się trzy statki genueńskie. Radość i trwoga miotały naprzemian sercem mieszkańców stolicy. Flotylla wiozła im zapasy żywności i kilkaset dzielnych dłoni do obrony miasta; ale po drugiej stronie wzniósł się las masztów tureckich; jeżeli niewierni dostrzegą nadpływające okręty, cóż je ocalić zdoła? Przez chwilę łudzono się nadzieją, że statki niedojrzane zdołają portu dosięgnąć, ale wnet uczucie to przemieniło się w przestrach, gdy w obozie Mahometa dojrzano ruch niezwykły, i wystrzał sygnałowy dał znać flocie o ukazaniu się Greków. Pomiędzy flotą turecką zawrzał ruch, a ku brzegowi z wzgórz obozowych ruszyły chmary jeźdźców i pieszych.

Słońce przecudnym blaskiem oświeca złociste tale Złotego rogu: ani jednej chmurki na niebie, najmniejszy wietrzyk nie marszczy zwierciadła morskich toni, okręty chrześcijańskie pomimo sygnałów ostrzegających, raz po raz dawanych z miasta, niemal przykute stoją na jednem miejscu; bezwładne żagle wiszą na masztach, a ręce wioślarzy mimo nadludzkich wysileń nie mogą jak tylko nader zwolna ciężko obładowane statki posuwać.

Lżejsza flota turecka półksiężycem stara się otoczyć nieprzyjaciela; sto czterdzieści i pięć statków różnej wielkości, a między niemi ośmnaście potężnych galer ruszyło przeciw czterem okrętom chrześcijan: trzydziestu na jednego, czyż to niedosyć, aby zgnieść odwagę najmężniejszych?

Mahomet, stojąc na brzegu morskim, z konia groźną ręką rozkazuje swoim marynarzom, aby walczyli dzielnie.

I zwolna, zwolna, coraz to bliżej przysuwają się niezliczone okręty Ottomanów; jeszcze chwila, a ten wspaniały widok, ta urocza cisza zmieni się w obraz zniszczenia, w huk bitwy, wrzaski walczących i jęki rannych.

Nagle zagrzmiały gromy broni, dym wystrzałów i chmury strzał zaciemniły niebiosa, powierzchnia morza pokrywa się pociskami, okręty tłoczą się w bezładnym wirze, wiosło nie znajduje miejsca do zanurzenia się w falach.

Czy Kserxes i Temistokles rozwalili grobowce i dysząc zajadłością, odnawiają bitwę pod Salaminą? Bałta-Ogłu z największą galerą pędzi na okręt cesarski, ostrzem dzioba rozdziera bok jego i dwa statki, jakby uściskiem węża splecione z sobą, pałają żądzą zagłady; z boku i z tyłu rzucają się inne okręty Muzułmanów, cieszących się, że za zdobyciem nawy admiralskiej, zwycięstwo pójdzie łatwo.

Ale gromada szakali natrafiła na lwie pazury. Grecy walczą jak lwy, jeden z napastniczych statków przedziurawiony, z całą załogą niknie w otchłaniach morskich, dwa zapalone ogniem greckim, uchodząc przed zniszczeniem, jak gorejące widma, sieją postrach pomiędzy natłoczoną flotą niewiernych; krzyk, jęki, zamieszanie, trzask zdruzgotanych masztów i rei, mieszają się z wojennemi okrzykami walczących chrześcijan, i echem odgłosów radosnych z murów stolicy; statki genueńskie sieją spustoszenie i trwogę, a zdziesiątkowana flota turecka rozpierzcha się, jak stado spłoszonych ptaków. Korzystając z przestrachu nieprzyjaciela, okręty greckie kierują się ku zatoce, lekki powiew wschodni wspiera ich usiłowania, dosięgają przystani, a ciężki łańcuch zamyka się za niemi, nie dopuszczając dalszej bitwy.

Gdyby wówczas cała flota grecka wypłynęła na pomoc swoim, któż wie, czy utraciwszy siły morskie, kusiłby się Mahomet o dalsze oblężenie?...

Widząc haniebną klęskę swej floty, sułtan miotany wściekłością rzuca się z koniem w fale morskie i okrzykiem i groźnemi gestami rozkazuje bój odnowić, — cała starszyzna pławi się w bałwanach, spiesząc za Mahometem; ale już późno: już greckie statki z po

za ochronnego łańcucha natrząsają się z bezsilnego gniewu niewiernych.

Sułtan, rozjątrzony do najwyższego stopnia przeciwko admirałowi, dał rozkaz, aby go na pal wbito. Usłyszawszy to, Janczary błagali monarchy, aby mu darował życie. Mahomet nie chciał sprzeciwiać się życzeniom walecznych Janczarów, ale pomimo to rozkazał czterem silnym niewolnikom rozciągnąć Bałta-Ogłu na ziemi i własną ręką zadał mu sto razów ciężką maczugą, której każde uderzenie raniło. Jeden z Arabów kamieniem rozdarł mu policzek i wysadził oko. Taka była nagroda renegata.

Chwila, w której oblężeni pomimo wszelkich przeszkód nietylko otrzymali żywność i posiłki, ale nadto zadali klęskę flocie ottomańskiej, zdawała się Chalilowi przyjazną do ocalenia Carogrodu. Uległ wymowie jego sułtan i skłonił się odstąpić od oblężenia, jeśli mu cesarz będzie wypłacał 70 tysięcy sztuk złota rocznego haraczu i dozwoli urzędników policyjnych w swej stolicy mianować. Ale Szeik Abszemseddin, który na czele 20,000 derwiszów przybył do obozu, również jak Zaganos, szwagier sułtana, i kilku innych wodzów sprzeciwiali się temu.

— Chcecie wojny — zawołał Mahomet — dobrze, wezmę Carogród, ale poradźcie mi, jak zerwać ogniwa łańcucha zamykającego przystań?

Wszyscy zamilkli.

— Niedołężni! krzyczeć tylko umiecie — zawołał sułtan z pogardą, — na cóż mam radę, jeśli sam za wszystkich myśleć muszę, i wiem, co uczynię! To rzekłszy, wyszedł.

Mahomet sam rozwiązał trudne zagadnienie, którego cała rada rozstrzygnąć nie mogła: ten sam przedsiębiorczy duch szalonej odwagi, co go podczas bitwy morskiej wpędził w fale oceanu, dziś natchnął mu myśl żeglowania po lądzie. Sułtan postanowił statki swe przeprowadzić przez wązki język lądu, na którym stała Galata i wpuścić je do zatoki Złotego Rogu; szerokość lądu w tem miejscu zaledwie przenosiła milę.

Z grubych dylów ułożono rodzaj pochyłej kolei żelaznej, wysmarowano je mydłem i tłuszczem, a korzystając z wiatru północnego, rozpięto żagle i po kolei ślizkiej spuszczono statki tureckie do zatoki. Przedsięwzięcie to powiodło się szczęśliwie, a niezmierny przestrach ogarnął oblężonych, gdy na drugi dzień z rana ujrzeli 70 okrętów tureckich wewnątrz przystani.

Giustiniani postanowił zaraz następnej nocy spalić turecką flotę, lecz nikczemni Genueńczycy z Galaty projekt ten sułtanowi od-

kryli. Nędznicy ci, podczas całego oblężenia wiarołomnie obydwom dopomagali stronom; w nocy pomagali Grekom odpierać Turków; w dzień Muzułmanom służyli w obozie. Galerę Giustinianiego, największą ze wszystkich, za zbliżeniem się wśród nocnych cieni ku flocie tureckiej tak silny powitał ogień, iż w jednej chwili z 150 najdzielniejszymi wojownikami zatonęła. Giustiniani z niezmiernym trudem dotarł do brzegu, a kilkunastu jeńców schwytanych Mahomet rozkazał ściąć pod murami miasta.

Teraz Muzułmanie rozpoczęli bez przeszkody ogień na flotę grecką i zatopili parę statków kupieckich Galatczyków. Napróżno ci odwoływali się do sułtana, prosząc o szanowanie własności.

— To nie są statki kupieckie, lecz kapry korsarskie, które moim wrogom na pomoc przybyły.

Flota grecka schroniła się tymczasem za domy Galaty, które wprawdzie od kul tureckich legły w zwaliska, ale ani statki, ani marynarze nie doznali szkody, tak, że od stu pięć dziesięciu wystrzałów jedna tylko baba zginęła i to od cegły z muru strąconej.

(D. c. n.)



ZŁOTE MYŚLI.

O, kto ze łzami nie pożywał chleba,
Kto nie przepłakał na swem łożu nocy,
Kto nie przyzywał w więzach łaski nieba,
Ten Cię nie poznał, Boże wielkiej mocy!

Wincenty Pol.

ŻONA CEZARA

powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Dyoklecyan, chcąc pozbyć się uciążliwych myśli, które jak stado czarnych ptaków obległy jego udręczoną duszę, po wyjściu Ibisa z namiotu, udał się nad brzeg morski, gdzie skaliste wzgórza, pokryte laurowemi i cytrynowemi krzewami mile nęciły oko.

Oddychał ciężko władca świata.

— Na wszystkich krańcach ziemi — myślał — przeciwko mojej władzy powstaje bunt... Nigdzie oparcia, nigdzie wiary, nigdzie szczerości... Jestem oszukiwany, zdradzany, otoczony szpiegami i zbrodniarzami, czyhającymi na moje życie...

Szedł zwolna, z głową pochyloną, kierując się w stronę, gdzie w oddaleniu przechadzały się Walerya i Pryska.

Doszedłszy do stóp skalistego wzgórza, które stopniowo pochyłało się ku morzu, uczuł nagły ból w piersiach i usiadł na chwilę na kamiennym złomie.

Odetchnął i zrozpaczony szepnął sam do siebie:

— Skądże mam wzywać ratunku, gdy zdradzają mnie starzy Rzymu bogowie?... Skąd?...

W tej chwili drgnął, bo nagle posłyszał, jakby z pod ziemi wychodzący śpiew jakiś poważny, uroczysty, rzewny a zarazem potężny.

Śpiew dochodził uszu jego, jakby z pod ziemi, z każdą chwilą stawał się wyraźniejszym, nabrzmiałym modlitwą i błaganiem.

Dyoklecyan porwał się z miejsca, postąpił naprzód kilka kroków i ciekawie zapuścił wzrok w ciemny wąwóz, który ciągnął się tutaj w stronę morza.

Na razie nic tam nie dojrzał, tylko śpiew stawał się coraz głośniejszy, coraz potężniejszy.

Pan świata przypomniał sobie, że już nieraz w życiu swem podobne pienia słyszał.

Ale gdzie i kiedy?

Drgnął znowu, przystanął, za głowę się pochwycił wychudłemi rękoma.

— Tak — szepnął sam do siebie — te pienia znane mi są... słyszałem je kilkakrotnie na arenie cyrkowej w Kolizeum, gdy na tłum skazanych na śmierć chrześcijan wypuszczono stado dzikich bestyi, gdy za chwilę mieli zginąć pod ciosami lwich kłów i szponów.

Tę pieśń, tę błagalną, tę tak do głębi duszy przejmującą śpiewali wtedy chrześcijanie... śpiewali wyznawcy krzyża...

Czyżby i tutaj byli oni?... oni, którzy w niepojęty sposób zachwiali moim tronem, obezwładnili gromowładnego Zeusa i krwawego Molocha?... Nie masz już więc od nich wolnej ani piędzi ziemi rzymskiej?...

I Dyoklecyan w nagłym porywie gniewu chciał zawołać na straż, chciał wydać wyrok śmierci na tych zuchwałych chrześcijan, którzy bezwiednie zamącili jego odpoczynek w podróży, gdy nagle zbudziła się w jego sercu ciekawość, aby ujrzeć zbiorowisko wyznawców krzyża.

Powstrzymał się więc, wzrok zapuścił w wąwóz, okryty bluszczem i różanemi krzewami i czekał.

Posunął się naprzód.

Słońce rzuciło w wąwóz snopy jasnych promieni, wydostawszy się z za chmur, i imperator z łatwością widział teraz mchami pokryte dno i poszarpane skaliste brzegi jaru.

Nagle zapaliło się coś wśród zieleni, błysnęło światło tak silne, tak nagłe, że Dyoklecyan, jakby nagle oślepiony, zamknął oczy i chwilę stał oszołomiony.

Po chwili przemógł się, spojrzał i znowu uderzony dziwnem światłem, przymknął oczy.

— Krzyż!... krzyż!.... — wyszeptał, zakrywając rękami oczy, jakby przed nadziemskiem widziadłem.

Tak, pan świata ujrzał krzyż złoty, który wysoko trzymał w obu rękach starzec siwobrody, idąc na czele szarego, zwartego tłumu. Starzec wraz z tłumem nucił śpiew nadzwyczajny, wszechpotężny, który do głębi duszy wstrząsał Dyoklecyanem.

— Chrześcijanie! — zawołał imperator — widzę ich, to oni!... krzyż błyszczący niosą na czele... krzyż jaśniejszy od słońca...

A po chwili dodał, usiłując zapanować nad sobą, owładnąć obejmujące go coraz silniej wrażenie:

— Dokąd zmierzają?... dokąd dążą?... Przypatrzmy im się bliżej... Czasu mam dosyć, aby skinąć i mieczami mojego legionu przybocznego kazać wyciąć tę zgraję buntowniczą...

Ciekawość owładnęła duszą pana świata, stał, słuchał i patrzył.

A tymczasem dziwny orszak czcicieli Ukrzyżowanego wysunął się z szyi wąwozu i zwolna postępował za starcem przewodnikiem, który prowadził te wierne owieczki swoje, jak dobry pasterz, krzyżem wysoko wzniesionym w górę niecąc w nich męstwo i wiarę, ufność i nadzieję.

Szli mężowie dojrzali, młodzieńcy w wiośnie życia, niewiasty i dziewice, dzieci i starcy, szli ramię przy ramieniu, nucąc pieśń pobożną.

Były wśród tego tłumu postacie z ludu, wynędzniałe i upadające ze znużenia, byli także mężowie o krzepkiej postawie, znamionującej siłę, były matrony, pełne majestatu patrycyuszowskiego, byli starcy o postawie senatorskiej.

Dyoklecyanowi wydało się, że niektórych z tych mężów poznaje.

— Ach, co za hańba!... co za wstyd dla Rzymu!... Co widzę?... w tłumie tych buntowników dostrzegam mężów, którzy wczoraj jeszcze byli moimi zaufanymi powiernikami... Marcelli Aulus... tak!... wzrok mnie nie myli... to on!... A to senator Gaulus... starzec siedemdziesięcioletni... To Licyniusz, mój towarzysz w niedawnej wojnie perskiej... Na Jowisza, widzę i żonę jego... dostojną Lucyllę... Nie senże to?... Nie, to rzeczywistość... Hola! niech miecz uderzy!... czas ująć zdrajców!... Nie ocali ich krzyż... nie obroni ich Chrystus Ukrzyżowany!... Śmierć ich pewna...

I Dyoklecyan już miał krzyknąć na swą straż przyboczną, aby rzuciła się na chrześcijan, gdy naraz zachwiał się i omal nie upadł.

Wzrok jego padł na dwie jasne z dyademami nad czołem klęczące postacie.

Poznał w nich Waleryę i Pryskę.

To one uklękły na równinie i z rękami na piersiach złożonemi, oddawały pokłon, oddawały cześć, modliły się do krzyża.

Miałże więc wzywać w tej chwili straży, miał wydawać wyrok śmierci na buntowników, gdy żona i córka jego ukochana ugięły kolana przed ich godłem, przed krzyżem.

Nie!... byłoby to wydanie wyroku na siebie samego, byłoby to zgubą dla najbliższych sercu imperatora istot, dla tych, których jedynie kochał na ziemi.

Niech lepiej przejdą ci przeklęci chrześcijanie, niech umilknie w oddali ich śpiew, niech zginą, przepadną, ale niech nie ucierpi na tem majestat rodziny monarszej, niech nie ujrzą jej hańby oczy zwykłych śmiertelników, oczy poddanych, oczy sług i niewolników.

Z ulgą w sercu spostrzegł, że z tego miejsca, na którem się znajdował, nikt z jego otoczenia nie mógł widzieć klęczących Waleryi, ani Pryski.

Szybkiemi kroki, jakby młodzieńcze siły odzyskał, rzucił się i biedz począł Dyoklecyan do miejsca, gdzie klęczały ukochane przezeń osoby.

Tak były w modlitwie pogrążone, że nie spostrzegły nawet, jak stanął przed niemi imperator i pochwycił je za ręce.

— Na wielkiego Jowisza!... i wszechwładną Izydę! powstańcie!... — zawołał głosem prośby i rozkazu zarazem.

Jak spłoszone gołębie, porwały się z miejsca przerażone.

— Ojciec!...

— To ty, mężu! — dały się słyszeć stłumione okrzyki.

— Milczcie! — syknął Dyoklecyan.

I obejmując je groźnem spojrzeniem, rzekł z wściekłością:

— Jeśli nie chcecie, aby głowy wasze uderzył miecz katowski, odejdźcie stąd natychmiast!... odwróćcie się od tej buntowniczej zgrai!...

Obie kobiety pochyliły głowy, westchnienie żalu uleciało z ich piersi, w oczach łzy zabłysły.

— Ach, posłuchamy cię, ojcze! — rzekła Walerya, podnosząc na Dyoklecyana błagalne oczy — ale nie czyń nic tym, którzy z krzyżem na czele dążą na brzeg morza... Nie uczyń im nic złego!...

— Gdyby krew ich miała być przelana, mężu mój, zginiemy i my!... — mówiła z mocą Pryska.

Dyoklecyan zawahał się, a widząc, że lada chwila mogą nadejść straże, hamując wściekłość, odrzekł:

— Ha! więc niech uchodzą wolni!...

I w bezsilnym gniewie począł trząść się, jak w febrze.

Obie dostojne panie podparły go swemi ramiony.

Wkrótce uczuł ulgę i nawpół przytomnym wzrokiem patrzył, jak tłum chrześcijan dotarł do wybrzeża i zwolna siadał na statki o białych żaglach, które z hyżością mew lub jaskółek podpływały z po za skalistej ściany nadbrzeżnej.

Na żaglach widniały godła cezara Konstantyna Chlorusa.

I zdało się Dyoklecyanowi, że na jednym z tych statków dojrzał wyniosłą postać Konstantyna, syna Chlorusowego, a obok niego nie mniej rycerską postać Aureliana.

— Majaczę! — szepnął, przecierając oczy i opierając się na ramieniu żony i córki.

Po chwili w błękitnej oddali morskiej zaczęły znikać statki białożaglowe i odlatywać, jak ptaki na zachód, ku brzegom Hiszpanii...

Zniknęło wszystko, jak sen, śpiew umilkł błagalny...

Dyoklecyan, drżący, nawpół przerażony, nawpół obezwładniony, wsparty na ramieniu żony i córki wrócił do swego namiotu z kości słoniowej, złota i jedwabiu.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



ZŁOTE MYŚLI.

Pańscy wybrańcy w niepożytej sławie
Na wysokościach nasi opiekuni,
Ku wspólnej Matce, ku Polsce, ach, ku niej,
Zwróćcie oblicze... Święty Stanisławie,
Święty Kaźmierzu, Święty Józafacie,
Ku niej, ku Matce w pokrwawionej szacie.

Wszystko nam ludzie odjęli, o, Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku —
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nizko, o tyle wysoko,
Staniem w narodów świeczniku.

Przy pługu.

Ledwie świtało. Na zroszonej łące
Chłodny wiatr krople poruszył wiszące
Srebrzystej rosy. A na niebie chmury
Chodziły drobne. Dzień szary, ponury
Zwolna powstawał. Gdzieniegdzie tumany
Znikały białe. Dzwon rozkołysany
Odległej wioski głos tęskny, jękliwy
Słał w polskie ziemie przez bory i niwy.
Sennie i pusto... Na czarnym ugorze
Chłop, zadumany, zwolna, równo orze.
Za pługiem idą tu i owdzie wrony,
Zbierając czerwie. W myślach zagłębiony
Oracz podnosi zasępione czoło.
Wzrok utkwił w niebo. W duszy nie wesoło,
Z spojrzenia widać, że na sercu troska.
Westchnął i mówi: „Widać wola Boska
Tak nas doświadcza w polskości i wierze...
Przeklęty Niemiec... Myśli, że zabierze
Ode mnie siłą tę glebę kochaną...
Królowo nasza! Oni nie dostaną
Nawet i piędzi naszej polskiej ziemi.
Tego nie oddam, co spracowanemi
Rękami, potem uprawiam corocznie.
Stąd się nie ruszę... Niech się co chce pocznie...
Niech padnę trupem... Tu moje pradziady
I ojce leżą. A ten dzionek blady

Już od lat setek spotyka tu człeka
Polskiego zawsze. Przybłędy z daleka
Na własnym gruncie, myślą, chłopa zgnębią...
Nieraz już stałem nad przepaści głębią, —
A jednak, Matko, wyrwałaś w potrzebie!
Chytryś ty, Niemcze! Ale ja na ciebie
Mam także sposób. Nie dasz ty mi chaty
Stawiać w mej ziemi?... Chociażeś bogaty,
Masz takie wojsko i straszna twa siła, —
Nic tu nie zyskasz!... Boć ta macierz miła,
Która mnie żywi i całą rodzinę, —
Od wieków moja... Może w walce zginę,
Lecz ziemi nie dam. A co mam na myśli,
To zawsze zrobię. Chociażeście przyszli,
Nie dali stawiać — jednakże siedlisko,
Choć nie na ziemi, ale nad nią blizko
Mam w starym wozie jak cygan tymczasem...
Nie, nie ustąpię! I choć polskim lasem
Wichry i burza szarpią tak na świecie,
Ale ty, Niemcze! czy ty nie wiesz, przecie
Dość jednej chwili, a gdy Boska wola,
Skruszony padniesz i zalegniesz pola,
Jak przed wiekami. A w swojej potędze
Nie bądź tak dumny. Jeszcze cię dosięże
Wszechmocne ramię. Boć i pyszna głowa
Razem z gnębioną w jeden proch się chowa.

Antoni Mączyński.





Dostojny gość. W dniu 2 maja przybył na Jasną-Górę Jego Ekscelencya ksiądz doktór Józef Sebastyan Pelczar, biskup dyecezyi przemyskiej w Galicyi, w towarzystwie sekretarza swego księdza doktora Szmydta. Celem tej podróży Jego Ekscelencyi było oddanie hołdu Najświętszej Pannie Częstochowskiej. Ponieważ na drugi dzień przypadła uroczystość znalezienia Krzyża świętego, przeto ks. biskup celebrował uroczyście sumę — a po niej wypowiedział z ambony piękne kazanie, w którem poruszył najżywsze tematy doby obecnej. Ks. biskup Pelczar był profesorem i rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego, przytem jest autorem cennych dzieł treści historycznej i religijnej. Jako apostoł dyecezyi przemyskiej, od lat dziesięciu pracuje gorliwie ku podniesieniu religijności swych owieczek.

Jako działacz społeczny, J. E. ks. biskup Pelczar interesuje się żywo sprawami instytucyi chrześcijańskich, przybył więc do lokalu katolickiego Stowarzyszenia Robotników Polskich w Częstochowie, którzy wobec Dostojnika Kościoła bardzo udatnie odegrali dramat „Obrona Częstochowy“.

Witano i żegnano ks. Biskupa bardzo serdecznie i owacyjnie.

Po jednodniowym pobycie Jego Ekscelencya odjechał do Przemyśla, w Galicyi.

Przestroga. Już dawniej ostrzegaliśmy naszych czytelników przed niedorzecznemi, niezgodnemi z duchem naszej katolickiej nauki modlitwami, w których przeważnie mowa najprzód o obowiązku rozpowszechniania ich, a w końcu groźba nieszczęść i różnych kar, ktoby nie spełnił polecenia, zawartego w przemowie do tych

modlitw. Dwie podobne modlitwy z niedorzecznemi przestrogami znów odebraliśmy.

Jedna w polskim języku, zaczyna się od tych słów: „W czasie Mszy świętej w Jerozolimie dał się słyszeć głos: Ukarzę wszystkie narody nieszczęściem, a kto tę modlitwę odmówi, od wszystkiego złego wybawiony zostanie“ i t. d.

Druga modlitwa w języku francuskim, rozpoczynająca się od słów: „Oh, Seigneur“ etc. — a w końcu obu tych modlitw są pogróżki nieszczęść dla tych, którzyby nie rozdali ich dziewięciu osobom.

Są to zabytki średniowiecznej ciemnoty, wyzyskiwanej przez szarlatanów religijnych, którzy przebiegając miasta i wioski, szerzyli niezdrowy ascetyzm. Dobry katolik znajdzie modlitwy, zgodne z duchem Ewangelii świętej, w książkach do nabożeństwa potwierdzonych przez władzę duchowną — i te mu wystarczą do podniesienia swego serca ku Bogu i do kierowania swemi czynami według przykazań Boskich.

Sala zajęć dla biednych chłopców pod wezwaniem świętego Stanisława Kostki w Częstochowie. Otwarcie sali zajęć dla biednej dziatwy w Częstochowie należy zapisać złotemi głoskami, fakt ten bowiem, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej częściowo rozwiązuje palącą sprawę opieki nad bezdomnemi dziećmi, demoralizowanemi przez ulicę, których liczba zwiększa się z roku na rok, a niema ich gdzie mieścić. Jest to jedna z najbardziej palących ran w naszym organizmie spółczesnym i choć Sala Zajęć w Częstochowie jej nie zabliźni zupełnie, jednakże cieszyć się należy, że przynajmniej postąpiono w tym kierunku jeden krok naprzód.

A oto dzieje powstania Sali Zajęć. Założycielem zakładu jest ksiądz Stanisław Kowalski, były wikaryusz parafii świętego Zygmunta w Częstochowie.

W dniu 3 listopada 1906 r., to jest w dniu otwarcia Sali Zajęć w kościele świętego Zygmunta w Częstochowie zgromadzili się chłopcy, przyjęci do zakładu oraz przedstawiciele Częstochowskiego Towarzystwa Dobroczynności i sporo osób z inteligencyi. Ksiądz Włodzimierz Jakowski odprawił uroczystą Mszę świętą na uproszenie błogosławieństwa Bożego dla nowej instytucyi, podczas której serdecznie przemówił do obecnych. Poczem z kościoła udali się wszyscy do zakładu, mieszczącego się w posesyi p. Tomczyka przy ulicy Mikołajewskiej № 2, który ks. Kowalski poświęcił i przemówił do obecnych o znaczeniu tej nowej instytucyi. Na początek przyjęto 30 chłopców.

Walcząc nieraz z wielkim brakiem środków, przy pomocy dobrych ludzi, zdołał się zakład zaopatrzyć stopniowo w inwentarz niezbędnie potrzebny w warsztatach, których obecnie jest dwa: tokarski i stolarski. Uczą się także dzieci wyrobów sznurkowych i rzeźbiarskich. Kierownikami zakładu pod względem technicznym, są p. Mieczysław Wodnicki, nauczyciel slojdu drzewnego, i p. Marcin Podstawczyński — robót sznurkowych. Dziś zakład liczy 60 chłopców, z tych 16 stałych pensyonarzy, sierot bez ojca i matki, utrzymywanych zupełnie kosztem zakładu, reszta zaś dzieci przy-



Wychowańcy Sali Zajęć w Częstochowie.

chodnich przebywa w nim od godziny 9-ej rano do 6-ej wieczorem, gdzie dostają całkowite utrzymanie i tylko na noc wracają do swych domów.

W przyszłości Sala zajęć posiadać będzie własny domek, o którego wybudowaniu myśli ks. kanonik Fulman, miejscowy proboszcz, obecnie stojący na czele zarządu. Jakżeby pożądanem było rozszerzenie tej tak bardzo pożytecznej instytucyi, lecz na to potrzeba pieniędzy, o które tak trudno. Główny fundusz stanowią stali człon-

kowie, na których zapisali i zapisują się ci, którzy najgłębiej odczuwają niedolę bliźnich. W dniu otwarcia Sali Zajęć wygłoszone były te pamiętne dla wszystkich słowa: (a było to w dniach odbywanych egzekucyi w mieście naszem, a więc w dniach rozpaczliwych). „Gdyby opiekowano się opuszczonemi i rzuconemi na bruk uliczny dziećmi, nie doczekalibyśmy się takich strasznych dni. I jeżeli ta instytucya, ta Sala Zajęć upadnie dla braku funduszów, to Częstochowianie ciężko odpowiedzą przed Bogiem i przed Polską całą!“



Wychowańcy Sali Zajęć w Częstochowie przy nauce sznurkarstwa.

Uskarżamy się na ciężkie czasy, z trudnością nieraz przychodzi nam udzielić najmniejszą kwotę dla biednych braci naszych, lecz nie wszyscy zastanawiamy się nad tem, że znaczną część wydatków pochłaniają nie istotne potrzeby, lecz najczęściej względy stosowania się do ludzi, do form towarzyskich i t. p. błahych przyczyn. Otóż z rubryki takich wydatków dajmy cośkolwiek, zapisujmy się na stałych członków Sali zajęć, przyczyńmy się do rozszerzenia tej instytucyi, a może biedna dziatwa tam umieszczona, oddzielona od wpływów ulicznego zepsucia powróci do zdrowia moral-

nego i stanie się użyteczną naszemu społeczeństwu na arenie życia. Takie odrodzenie naszego społeczeństwa od nas głównie zależy. C hciejmy tylko. Miejmy wolę dobrą...

Zwracamy się również z gorącą prośbą o ofiary w naturze, jak pościel, ubranie i t. p., gdyż brak tych niezbędnych rzeczy daje się bardzo odczuwać.

Pożądanem byłoby, aby ogół szerszy zainteresował się z blizka tą instytucyą, odwiedził ją, zobaczył pracę dzieci, ich warsztaty, wy-



Wychowańcy Sali Zajęć w Częstochowie przy nauce rzeźbiarstwa.

roby. Członkowie mają poniekąd obowiązek to uczynić, aby przekonać się, na co obracany jest ich grosz ofiarny. Na żądanie chętnie zaśpiewają dzieci jaką piosenkę, np. tę o Wiśle: „Póki Wisła płynie"...

W takt tej piosenki i my powtarzamy, że póki szlachetność w sercach Częstochowian płynie, póty Sala Zajęć dla biednych chłopców nie zginie!

Nie możemy zamilczeć tego, że główną pomocą w dopięciu celu była panna Helena Gerlachówna, dzielna i niezmordowana praco-

wnica społeczna, materyalną zaś pomoc w znacznej mierze okazały panie: Olewińska, Borowska i Pilcowa.

Wystawa przemysłowo-rolnicza w Częstochowie. Dnia 5 Maja, w sali hotelu Angielskiego, na zaproszenie komitetu tymczasowego wystawy, zebrało się przeszło 60 osób z pośród przedstawicieli przemysłu i rolnictwa Częstochowy i okolicy.

Posiedzenie zagaił prezes komitetu tymczasowego p. Małkowski, który przedstawiwszy zebranym w ogólnych zarysach wszystko to, co dotąd przez komitet tymczasowy zdziałano, zaproponował wybór przewodniczącego na zebranie w osobie hr. K. Raczyńskiego. Przez aklamacyę powołano na przewodniczącego hr. Raczyńskiego.

Przewodniczący ze swej strony zaprosił do stołu prezydyalnego pp. Wł. Małkowskiego, A. Bogusławskiego, ks. kan. Fulmana, Ig. Wilskiego, Fr. Szymańskiego, J. Grosmana i na trzymającego pióro p. Al. Bezego, poczem ogłosiwszy porządek dzienny obrad, oddał głos w kwestyi ewentualnego budżetu wystawy p. Al. Bogusławskiemu.

Pan Bogusławski, po dłuższem przemówieniu przytoczył następujące dane cyfrowe: wydatki w ogólnej cyfrze przewidywane na sumę rb. 55,000 opłaty za wstęp dadzą mniej więcej 35,000 rb., opłaty za miejsca 10,000 rb., czyli dochód ogólny przewiduje się na sumę 45,000 rb., a w ten sposób przewidywany być może deficyt w sumie 10,000 rb. Otwarcie wystawy projektuje się w pierwszej połowie sierpnia 1909 r., zamknięcie zaś w drugiej połowie września tegoż roku.

Następnie przystąpiono do rozpatrzenia projektu syndykatu wystawowego i organizacyi jego.

Zabrał głos p. Małkowski. Zaznaczywszy na wstępie, że dla uzyskania pozwolenia władz p. gubernator piotrkowski żąda oferty grona osób, która gwarantowałaby budżet wystawy i były odpowiedzialne przed władzami, przeczytał projekt ustawy, który jednogłośnie został przyjęty.

Większością głosów wybrani zostali do komitetu wystawowego pp..

Ks. Lubomirski gł. 42, hr. Raczyński gł. 42, dyrektor Wolski gł. 42, dyrektor Szymański gł. 40, Jan Grossman gł. 39, dr. Władysław Sachs gł. 39, prezes Adam Michalski gł. 39, ks. kanonik Fulman gł. 39, Ignacy Wilski, dyrektor syn. roln. gł. 39, inż. Mońkowski gł. 37, inż. Kozłowski gł. 37, Wład. Małkowski gł. 36, inż. Tela-

kowski gł. 36, inż. A. Bogusławski gł. 35, przeor ks. E. Rejman gł. 34, dyrektor Jacson gł. 33, dyrektor Jakowski gł. 31, Henryk Markusfeld gł. 31, inż. W. Bogusławski gł. 31, dr. Leopold Kohn gł. 30, radca Tad. Chwalibóg gł. 31, obywatel ziemski Masłowicz gł. 28, głównozarz. Ces. mająt. Szacki gł. 28, dyrektor Szacht gł. 26, przemysłow. Brauliński gł. 24.

Zastępcy: obyw. ziemski Biedrzycki gł. 22, prezydent Głazek gł. 20, członek rady Państwa Józef Ostrowski gł. 20.



ZŁOTE MYŚLI.

Polska mowa ma świetlana,
O, jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana.
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mieści
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona,
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś Bożego tchnieniem łona
Tyś nam cudem objawiona!



Ojciec Święty do Wielkopolan. Korespondent rzymski „Czasu“ podaje mniej więcej dosłownie brzmienie przemówienia Ojca Świętego do Wielkopolan, przybyłych do Rzymu z ks. biskupem Likowskim, aby uczcić pięćdziesięciolecie kapłaństwa Ojca Świętego Piusa X. Ojciec Święty mówił po włosku, poczem kazał swe słowa przetłómaczyć na polskie podkomorzemu duchownemu ks. prałatowi Sapiesze. Brzmią one:

„Dziękuję Wam bardzo, ukochani synowie, iż chcąc dać wyraz swej względem Stolicy Apostolskiej i Naszej niegodnej Osoby miłości i wierności, przybyliście tu do grobu Apostołów i miasta wiecznego, ażeby złożyć mi życzenia z okazyi mego jubileuszu kapłańskiego.

Dziękując Wam, najmilsi, za Wasze życzenia i za tak obficie z ochotnego serca złożone świętopietrze, nie możemy przyjąć życzeń Waszych, ażeby Wam za miłość nie okazać naszej szczególnej życzliwości i przychylności ojcowskiej. Szczególnej mówię, bo wszakże jesteście dziećmi nieszczęśliwego i ze wszech miar dziś utrapionego narodu; a jako ojciec, który jednakowo miłuje wszystkie dzieci swoje, lecz szczególniejszą otacza miłością te, które są udręczone cierpieniem, tak i Wy, synowie, do tej szczególniejszej miłości macie prawo.

Radbym z całego serca ulżyć Waszym cierpieniom i wziąć na siebie ten ciężki krzyż, który dźwigać musicie i co tylko w mojej jest możności, nie zaniedbywam, ażeby Wam pospieszyć z pomocą. Tak, wszystkich środków, które mi Opatrzność Boża podała, wszystkich środków, które mi radzi użyć roztropność chrześcijańska, gdzie

tylko i jak mogę używam, ażeby Wam dopomódz i pragnę, byście nietylko Wy wiedzieli o tem, ale byście o tych uczuciach Papieża względem Was powiadomili i Waszych braci w ojczyźnie.

Bóg Was doświadcza i zsyła na Was tak wielkie utrapienia, lecz nie w innym celu, jedno ażeby wypróbować Waszą wiarę i zaprawiać Was w cnocie, bo cnota, wszak wiecie, w płomieniu cierpienia wzmacnia się i hartuje, byście cnotą silni nietylko potrafili oprzeć się nieszczęściom, lecz abyście tą wiarą świecąc, byli dla nie-



Jego Świętobliwość Papież Pius X w ogrodach watykańskich.

przyjaciół Waszych świadectwem wymownem prawdziwości tej świętej wiary i mogli ich przywieść do poznania i uznania prawdy.

Dlatego tu z głębi serca błogosławię Wam, rodzinom Waszym i dzieciom Waszym, i blizkim Waszemu sercu i wszystkim ziomkom Waszym, i całemu krajowi i z całego serca udzielam Wam Apostolskiego błogosławieństwa:

— Niech imię Pańskie będzie błogosławione.

— Teraz i na wieki wieków.

Panie, pospiesz ku wspomożeniu memu!

— Panie, pospiesz ku ratunkowi memu!

Niech Was błogosławi Bóg Wszechmogący † Ojciec i † Syn i † Duch święty. Amen!“

Ze Lwowa. Lwów nie pamięta tak wspaniałego obchodu rocznicy dnia 3 maja, jak tegoroczna.

Obchód ten dał miarę nastroju społeczeństwa w obecnej chwili. Salę ratuszową wypełniły tłumy, galerye, zdawało się, że się ugną pod naporem zalegających je głowa przy głowie tłumów. Setki osób, ktore później przybyły, nie mogły dostać się już do przepełnionej do niemożliwości sali. A tłum to był złożony ze wszystkich sfer. Od robotnika i młodzieży szkolnej do jednostek, zajmujących najwybitniejsze stanowiska. A była w nim powaga niezwykła i niezwykle świąteczny nastrój.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów naszych zagaił zebranie.

„Oto jest uroczystość! — rozpoczął — oto jest pamięć dnia, jednego z najwspanialszych w naszych dziejach, a może i najwspanialszego, bo urodziwszy się w smutnej chwili upadku i — powiedzmy sobie otwarcie — w chwili bolesnej deprawacyi społeczeństwa, zajaśniał dowodem, że w zepsutej ówczesnej duszy polskiej było jeszcze miejsce nietylko na potężne uczucie, ale i na niepośledni rozum, było miejsce na uświadomienie sobie nieuniknionej, nieprzepartej potrzeby dalszego życia narodowego.

Zjawisk historycznych, należących do przeszłości, nie można, oczywiście, sądzić miarą wymagań czasów dzisiejszych. Uchwały Konstytucyi majowej, gdyby na nich chciano budować dzisiaj ustrój bytu, którego realizacya najgorętszą, najwewnętrzniejszą jest tęsknotą nas wszystkich, nie wystaczyłyby, stałyby się przedmiotem zaciekłych walk partyjnych.

A przecież ktokolwiek uchwały te śmiałby sobie lekceważyć, ściągnąłby na serce swe zarzut braku umiłowania tego, co było w przeszłości naszej szlachetnem i dobrem, ściągnąłby na umysł swój zarzut tępej ciasnoty, niezdolnej ogarnąć i zgłębić tego, co było w niej światłem i rozumnem, co było w niej okiem, otwartem na przyszłość“.

„Nie mojem jest zadaniem w tej uroczystej chwili dzisiejszej dawać rady, jakiemi społeczeństwo kierować się winno. Jedną z najgłówniejszych potrzeb społecznych, której źródła dopatrzyć się możemy w Konstytucyi majowej, społeczeństwo już spełnia: upowszech-

nia ojczyznę, to znaczy, demokratyzuje się, skupia swe siły bez względu na różnice partyjne, skupia je z coraz to większą świadomością, że, ażeby stworzyć sobie silne podstawy bytu, trzeba nie zamykać oczu i uszu na ciosy, które zewsząd w nie biją, trzeba w pogotowiu mieć ramię, ażeby ciosy te z całą odeprzeć stanowczością.

Atoli w tem skupieniu się — i na to chciałbym szczególniejszą zwrócić uwagę, bo to mnie i innym najbardziej dolega — odzywa się od czasu do czasu pewien zgrzyt, który niedojrzałe uwieść może umysły i przeszkadzać przyspieszeniu ostatecznego zwycięstwa naszej idei narodowej. Mam na myśli błędne pojmowanie samego wyrazu „narodowy".

Według wyobrażeń pewnych kół, którym nie mam zamiaru dobrej zaprzeczać woli, utarło się pojęcie, że wyraz „narodowy" jest równoznacznikiem „wstecznictwa". Ludziom, nie chcącym zrezygnować z życia narodowego, broniącym się przed atakami na polskie życie narodowe, zarzuca się zbrodnię przeciw elementarnym prawom ludzkości. Równocześnie jednak przyznaje się, i słusznie, pod hasłem idei humanitarnych najmniejszym nawet społeczeństwom prawo walki o indywidualny byt narodowy. Jest to sprzeczność, wynikła z teoretycznego patrzenia na rzeczywiste potrzeby życia.

Otóż wyzwolenie się z tej sprzeczności jest najelementarniejszym naszym obowiązkiem, uleganie temu błędowi równa się bowiem — w ostatecznych konsekwencyach — zupełnemu wyrzeczeniu się naszej narodowej, polskiej przyszłości. Dopóki najzaciętsi wrogowie nasi będą w imię ideału państwowego kuli przeciwko nam najohydniejsze, najkardynalniejszym zasadom ludzkości urągające ustawy, my, pod grozą śmierci, mamy obowiązek w imię ideału narodowego być zawsze do walki sposobni. A rozważyć trzeba, że nie jesteśmy wojskiem nacierającem, ale obleganem, rzuconem przymusem i gwałtem na szańce koniecznej obrony; poddanie się bez walki wypaliłoby na czole naszem piętno tchórzów, okryłoby nas hańbą na wieki. Ten tylko naród ma prawo żyć, który prawa tego posiadł świadomość; ten tylko naród będzie żył, który świadomość tę chce i umie zużytkować w celach obrony swego prawa.

A przytem, jeżeli nie sięgać nam dalej w przyszłość, to nasza epoka porozbiorowa daje najwidoczniejsze dla nieuprzedzonych świadectwo, żeśmy broni używali godziwej, żeśmy jako ogół nie sprzeniewierzali się właśnie ideałowi ludzkości, któremu tak niesłusznie przeciwstawia sią jako zarzut ideał narodowy. I to jest naszą dumą, i to jest naszem prawem do życia.

Dumę tę uprzytamniajmy sobie i krzepmy w sobie nietylko w chwilach wspaniałych manifestacyi narodowych, ale codziennie, w dniach powszedniej pracy, która oby spełnianą była z jedną myślą: szanując wzajemnie swoje przekonania, starajmy się skierować usiłowania nasze, ażeby wytworzyć narodowi własnemu należne warunki rozwoju. Nie pozwalając też sobie wydzierać tego, co naszą jest własnością, nie uchylajmy się od zgody — w imię równych praw z narodami innymi.

Z wiosną poczęte zostało wielkie dzieło Konstytucyi — w czas pękających drzew i świeżej, zielonej runi zbóż. Owiewała i owiewa od wieku jego pamięć wielka poezya serc polskich, poezya, która oby się stała rozgłośnym rozsłonecznionym szumem, szelestem i hukiem wiosennego, odradzającego nas czynu."

Silne wrażenie wywarła pieśń Towarczowskiego „Ojczysta ziemia", odśpiewana przez chór akademicki pod batutą d-ra Szczepańskiego z pełnią uczucia. Usłyszeli następnie zebrani fragment o roku 1812 z „Pana Tadeusza".

Obchód zakończył chór odśpiewaniem „Wieńca pieśni polskich." Burza oklasków towarzyszyła dźwiękom „Pieśni legionów", której publiczność wysłuchała stojąc.

Na Kopcu Unii lubelskiej, o godzinie 5-ej z rana, zebrała się młodzież szkolna, akademicka i rękodzielnicza. Uczestnicy zebrania z żalem wspominali, że w roku zeszłym, o tej wczesnej godzinie, na Kopcu zastali już namiestnika hr. Andrzeja Potockiego, dziś spoczywającego już w grobie, do którego wtrąciła go ręka zbrodniarza.

O godzinie 6-ej zabrzmiał z wieży ratuszowej hejnał, o godzinie 7-ej na ulicach miasta ukazała się kapela narodowa, która wygrywała pobudkę. O g. 8-ej rozpoczęło się w katedrze uroczyste nabożeństwo, które celebrował ks. arcybiskup Bilczewski. Podniosłe kazanie na temat Konstytucyi 3-go maja wygłosił ks. dr. Ciemniewski. O godz. 11-ej rozpoczęła się msza polowa na boisku sokolem.

Boisko zmieniło się w wspaniałą świątynię pod gołem niebem. Na stokach, pod purpurowym baldachimem, z którego szczytu powiewały chorągwie o barwach narodowych, stanął ołtarz polowy, unosząc się po nad boiskiem. Po obu stronach ustawiły się orkiestry.

Miejsca naprzeciw ołtarza zajęły reprezentacye władz i instytucyi, oraz członkowie Wydziału Krajowego z marszałkiem hr. Badenim, reprezentacya miasta z prezydyum i t. d. Za nimi szkoły żeńskie i męskie i młodzież akademicka, dalej stowarzyszenia, ce-

chy, korporacye, włościanie, wypełniły cały środek boiska. Resztę olbrzymiego boiska wypełnił zbity tłum publiczności, głowa koło głowy. Zwartą falą otoczyła publiczność również całe boisko po za ogrodzeniem.

Zabrzmiał dzwonek. Odkryły się głowy 30-tysiącznego tłumu. Rozpoczęła się cicha msza święta, którą odprawił ks. biskup Bandurski.

Ważną chwilą uroczystości był wspaniały pochód, który od boiska „Sokołów" ruszył ku pomnikowi Mickiewicza. W pochodzie wzięło udział 15 tysięcy osób.

Otwierał go oddział „Sokoła" konnego w trzech zastępach. Za nim straż ogniowa ochotnicza „Sokół", a za orkiestrą „Czwartaków" wszystkie gniazda sokole lwowskie ze związkiem „Sokoła" na czele. Szli dalej sędziwi weterani z r. 1863-go, a za nimi młodzież szkół wydziałowych męskich i żeńskich, seminarya, licea, pensyonaty, gimnazya, obie szkoły realne i młodzież akademicka. W pośrodku orkiestra młodzieży gimnazyalnej. Za młodzieżą lud wiejski w liczbie kilkuset.

Pochód barwny od krwawych koszulek sokolich, kontuszów, sukman, chust uroczystych — szedł wzdłuż gęstych szpalerów publiczności, która ustawiła się wzdłuż całej drogi.

Cały plac Maryacki zalały tłumy publiczności, zostawiając tylko wązkie przejście dla pochodu.

O godzinie 1-ej ukazało się czoło pochodu na placu Maryackim.

Zabrzmiała komenda: „czapki w lot!"

Z odkrytemi głowami przeszedł pochód przed pomnikiem, hołd składając Wieszczowi narodu. Prawie trzy kwadranse trwała defilada przed pomnikiem Mickiewicza.

Na placu Maryackim pochód się zakończył.

Nie mniej uroczyście pamiątkę 3 maja uczciły inne grody galicyjskie, jak Kraków, Przemyśl, Tarnopól i t. d.

Wystawa w Ciechocinku. W projektowanej w roku bieżącym wystawie zdrojowisk oraz urdrowisk krajowych w Ciechocinku biorą udział: Busk, Czarniecka Góra, Druskieniki, Grodzisk, Kochanówka, Nałęczów, Ojców, Otwock, Pieskowa Skała, Pohulanka, Połąga, Sławuta, Solec; z galicyjskich: Zakopane — Sanatoryum d-ra Dłuskiego i zakład d-ra Chamca, Krynica, Kosów, Niemirów; z obcych: Appolinaris, Gisshübler, Marienbad i kilkanaście zdrojowisk francuskich oraz Borżom.



Kondukt żałobny ze zwłokami hr. Andrzeja Potockiego, namiestnika Galicyi.

Na liście wystawców figuruje kilkadziesiąt firm, produkujących różne przedmioty, mające związek z przyrodolecznictwem, jako to: wody mineralne, kefir, kumys, produkty i przetwory mleczarskie i pieczywo hygieniczne, wyroby rzeźbiarsko-letniskowe i t. d.

Zapisy lekarzy na zjazd do Ciechocinka w d. 8 czerwca (drugi dzień Zielonych Świąt) przyjmują się w dalszym ciągu w sekretaryacie wystawy.

Zaproszenie do udziału w wystawie w Jarosławiu. W sierpniu i wrześniu r. b. odbędzie się w Jarosławiu, w Galicyi, wystawa przemysłowo-rolnicza, która dla przemysłowców z Królestwa może mieć znaczenie domiosłe przy wprowadzaniu wyrobów ich na rynki galicyjskie. Termin zgłoszeń upływa z dniem 1 czerwca r. b. Zarząd wystawy poczynił starania w celu uzyskania dla przedmiotów wystawowych zniżenia taryfy przewozowej na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i uwolnieniu ich od cła wwozowego do Austryi.

Wszelkich informacyi w sprawach wystawy udziela p. Z. Maciejowski w Warszawie, ul. Żórawia № 27.

Zamknięcie szkół z językiem wykładowym polskim w gub. kieleckiej. Na mocy postanowienia warszawskiego generał-gubernatora z dnia 6 maja wszystkie szkoły prywatne z wykładem w języku polskim w gub. kieleckiej zostały zamknięte. Wskutek starań obywateli szkoła handlowa została otwartą.

Wspomnienie pośmiertne. Andrzej hr. Potocki, namiestnik Galicyi, padł z ręki zabójcy, gdy w pałacu swoim udzielał audyencyi różnym osobom składającym na jego ręce prośby i podania.

Młody fanatyk, rusin, strzelił kilkakrotnie do namiestnika z rewolweru i zabił go. Pochwycono zbrodniarza i oddano w ręce sprawiedliwości. Wieść o tak straszliwem morderstwie lotem błyskawicy rozbiegła się po Lwowie i całym kraju, budząc wszędzie żal, gdyż zmarły namiestnik odznaczał się, i jako Polak, i jako urzędnik, i jako ojciec rodziny, cnotami niepospolitemi, łagodnością, umiarkowaniem i sprawiedliwością. Padł ofiarą krwawej zawziętości partyi rusińskiej, która w ostatnich czasach z wielką zaciętością występuje przeciw wszystkiemu co polskie. Dobry syn ojczyzny, dobry obywatel, wytrawny polityk, zszedł niespodziewanie z placówki ważnej, której był ozdobą. Następcą jego rząd austryacki mianował Michała Bobrzyńskiego, znakomitego uczonego i doświadczonego działacza na polu społecznem i politycznem.

Żywy pomnik. Na fundusz, zbierany przez lwowskie „Słowo polskie“ dla uczczenia pamięci namiestnika Potockiego, a przeznaczony na bursy dla polskich dzieci włościańskich, pragnących się kształcić, złożono dotychczas 15,000 koron.

Zapomniane groby. Jednemu z publicystów warszawskich zakomunikowano, iż groby przyjaciół Mickiewicza: Czeczota i Zana, są w zupełnem zaniedbaniu. Jak wiadomo, Jan Czeczot zmarł w Druskienikach r. 1846, pogrzebiono go zaś w Rotnicy na Litwie. Zwłoki Tomasza Zana, zmarłego w r. 1854, spoczywają na cmentarzu w Smolanach, w gub. Mohylowskiej. Na grobie Czeczota krzyż jest pochylony, napisy w kamieniu zatarte i cały grobowiec tonie w chwastach. Co się tyczy grobu Zana, ten jest jeszcze w gorszym stanie, gdyż od czasu pogrzebu Tomaszowej Zanowej, gdy obalono 6 słupków żelaznych z łańcuchami, te do tej pory leżą niepodniesione w „burzanach“. Od śmierci Abdona, syna Tomasza, nikt się tą mogiłą nie opiekuje. Dawniej miał pieczę nad grobem Zana proboszcz smoleński, ks. Harasimowicz, lecz ten przeniósł się do Klecka. Gdy potem proboszcz ks. Wróblewski, po krótkim pobycie w Smolanach, wyjechał również w inne strony, przez czas dłuższy nie było w tej parafii kapłana, i w tym to czasie miasteczko Smolany niemal do szczętu zgorzało; ocalał tylko kościół z zabudowaniami poklasztornemi, w których przez kilka miesięcy zamieszkiwali pogorzelcy-żydzi.

A jednak grobowce obu wymienionych mężów powinny być opieką otoczone.

Wilhelm II, cesarz niemiecki, jako dziecko. W języku angielskim ukazała się świeżo książka pod powyższym tytułem. Są to wydane bezimiennie pamiętniki kobiety, która żyła w najświetniejszej epoce panowania królowej angielskiej Wiktoryi, bywała u dworu i znała wszystkie ówczesne znakomitości świata. Między innemi autorka podaje ciekawe szczegóły o obecnym cesarzu niemieckim. „Z księżną następczynią tronu przyjeżdżał do Londynu drobny, ładny i bardzo niegrzeczny chłopczyk, który dziś zasiada na tronie, jako Wilhelm II. Pewnego razu na uroczystość dworską przebrano go po szkocku; zimny wiatr owiewał delikatne jego kolana, zaczął się kręcić i psocić. Matka, nie mogąc sobie dać z nim rady, oddała go pod opiekę wujom: Leopoldowi i Arturowi, którzy byli także ubrani po szkocku. Mały Wilhelm ostremi ząbkami kąsał ich w gołe łydki. Znosili to po bohatersku, przypuszczam jednak, że po powrocie

czenie strategiczne dla Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Kto wie, czybyśmy już dzisiaj nie mieli wojny Amerykańsko-japońskiej, gdyby on był już przekopany. Ale to przekopanie jakoś bardzo wolno postępuje, ponieważ okolice, przez które on ma przechodzić, odznaczają się nader zabójczym klimatem dla Europejczyków; panuje w tych stronach żółta febra, której nawet przyzwyczajeni już do niej Chińczycy ulegają.

Rząd amerykański nie może więc do kopania tego kanału dostać robotników i dlatego werbuje ich w Europie.

Podobno i u nas kręcą się agenci, bałamucą lud wielkimi zarobkami i namawiają go do wychodźtwa do Ameryki.

Niech się nikt z naszych robotników nie pozwoli do Ameryki namówić, jeżeli mu życie jest miłe, bo nawet najwyższe zarobki od śmierci go nie uchronią, gdy się dostanie w objęcia żółtej febry. Agenci ci wmawiają w lud, że namówieni przez nich robotnicy nie potrzebują jechać do Panamy, gdzie właśnie ten kanał kopią, tylko jak zwykle do Ameryki.

Jest to kłamstwem, o którem się dopiero zbałamucony robotnik przekona, gdy będzie już za późno. Uciec zaś stamtąd nie może, gdyż jest strzeżony, a gdyby mu się to i udało, to naraża się na pożarcie przez dzikie zwierzęta lub pokąsanie przez jadowite gady.

W innych krajach jest takie werbowanie robotników do Panamy wprost zakazanem, ale naszym polakożercom, którzyby to chętnie Polaków chcieli się pozbyć za wszelką cenę, taka wędrówka naszych robotników za morze, do zabójczej Panamy, jest nawet na rękę.

A więc baczność, robotnicy polscy!



ZŁOTE MYŚLI.

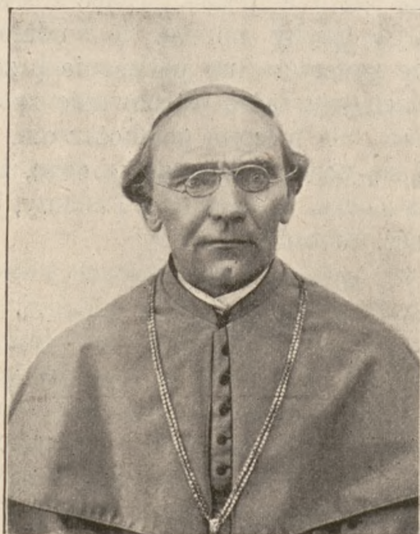
Długo trzeba młodemu milczeć, aby nauczył się dobrze mówić.



ś. p.

Ksiądz Biskup

MIECZYSŁAW PALLULON.



I znowu Bóg, niezbadany w wyrokach swoich, powołał do chwały wiekuistej jednego z najzasłużeńszych pracowników w winnicy pańskiej, powołał księcia kościoła, pełnego cnót apostolskich, najdo-

brotliwszego pasterza owczarni, którą jego pieczy Opatrzność powierzyła.

W piątek bowiem, dnia 15 maja, o godzinie 3-ej po południu, zmarł w Kownie po dłuższej chorobie J. E. ks. Mieczysław Pallulon, biskup dyecezyi żmudzkiej, magister świętej teologii, prałat domowy Ojca świętego, asystent tronu papieskiego.

Zmarły dostojnik Kościoła do ostatniej chwili zachował zupełną świadomość i panowanie nad sobą. Jeszcze w przeddzień śmierci osobiście kierował obrzędami, towarzyszącemi ostatnim sakramentom. Zrana w dzień śmierci poprosił ś. p. ks. biskup o komunię, a o godzinie 2-ej po południu o namaszczenie olejami świętemi. Niezadługo przed śmiercią odczytano zmarłemu telegram, przysłany z Rzymu, z błogosławieństwem Ojca świętego. Na kilka minut przed śmiercią chory prosił o odczytanie modlitwy przy konających. Podczas czytania tej modlitwy ks. biskup zauważył, że niektórzy z obecnych klęczą, kiedy należało, według obrzędu, stać; dość silnym więc głosem uczynił odpowiednią uwagę. O godzinie 3-ej po południu ś. p. ks. biskup Pallulon spokojnie przeszedł do wieczności. W kilka minut potem we wszystkich kościołach katolickich w Kownie dzwony zawiadomiły wiernych o śmierci Pasterza dyecezyi.

Podczas ostatnich chwil życia ś. p. ks. biskupa Pallulona, znajdowali się przy nim: ks. prałat Pawelanis, kapelan seminaryum ks. Wołłowicz, ks. prałat Kerpowski, sekretarz ks. Żongołowicz i inni.

Administracyę dyecezyi żmujdzkiej objął tymczasowo biskup-sufragan, ks. Cyrtowt.

Ks. biskup Pallulon urodził się na Żmudzi w rodzinie włościańskiej w r. 1834. Kształcił się w seminaryum duchownem w Worniach, studya akademickie odbywał w Petersburgu, gdzie w r. 1860 otrzymał święcenia kapłańskie. Zamieszkawszy w Kownie, zjednał tam sobie stopniowo coraz większe uznanie władzy duchownej dla swej niezwykłej żarliwości religijnej; w dniu 3-im marca 1883 roku mianowany został przez stolicę Apostolską biskupem dyecezyi żmudzkiej i w dniu 10-ym lipca tegoż roku objął zarząd dyecezyi.

W roku bieżącym przypadała właśnie 25 rocznica sprawowania przez zmarłego księcia Kościoła rządów pasterskich.

Zgon jego czyni nowy wyłom w szeregach bojowników o sprawę Kościoła katolickiego na Litwie i opróżnia jeszcze jedną biskupią stolicę, gdyż jak wiadomo, w Wilnie niema obecnie biskupa, na tronie biskupim po księdzu biskupie Roopie nikt nie zasiada.

Zjazd duchowieństwa i wiernych na pogrzeb ś. p. ks. biskupa żmudzkiego Pallulona był ogromny.

Przybyło z bliższych i dalszych okolic tysiące ludu.

Zwłoki zmarłego pasterza wystawione były w kościele poaugustyańskim wśród zieleni i światła.

W dniu 21 maja odbyły się ceremonie pogrzebowe. Po egzekwiach żałobnych pierwszą mszę żałobną odprawił ks. prałat Frąckiewicz z Wilna. Msze uroczyste celebrowali J. E. ks. biskup sufragan Cyrtowt, J. E. ks. biskup płocki Wnukowski i J. E. ks. biskup sufragan łucko-żytomierski Karaś.

Z uczuciem głębokiego, serdecznego żalu, pogrążeni w żałobie, opuszczali uczestnicy tej smutnej uroczystości miejsce wiecznego spoczynku dostojnika Kościoła, który wyszedłszy z pod wieśniaczej strzechy, w imię cnót swoich i zasług ewangelicznych, zasiadł na tronie biskupim i pasterzował przez długie lata godnie a wytrwale w jednej z tych dyecezyi, którą łzy i krew męczeńska tak obficie użyzniły.

Cześć świętej jego pamięci!



ZŁOTE MYŚLI.

Zazdrosnymi są tylko ludzie małego serca i małego rozumu.

Bądź uprzejmym dla wszystkich, nie pochlebiaj nikomu, sprawiedliwością zaś rządź się w każdej sprawie.

Kto ma chęć drugim przewodzić, niech się sam nauczy chodzić.

Nowiny polityczne.

Uchwały wiecu Polek w Poznaniu. Na wiecu, który odbył się w niedzielę, dnia 10-go maja, w Poznaniu, przyjęto jednomyślnie uchwały następujące:

W obliczu Boga, Stwórcy wszystkich narodów i wobec wszystkich sprawiedliwych ludów świata, my, zgromadzone tutaj niewiasty polskie wszystkich dzielnic i stanów, na tym walnym wiecu protestujemy uroczyście przeciwko wywłaszczaniu nas z dziedzictwa ojców oraz przeciwko nowemu krępowaniu mowy ojczystej, a z głębi skrzywdzonego serca ślubujemy święcie, że wszystkich sił dołożymy, ażeby lepiej, niż dotychczas pełnić obowiązki względem ojczyzny i jej przyszłości.

Postanawiamy niezłomnie:

1) że, mimo groźby wywłaszczenia, naszej ziemi w obce ręce z własnej woli nigdy nie oddamy;

2) że, chociażby wywłaszczone z dziedzictwa ziemi, kobiety samodzielne, nie opuścimy stron ojczystych, a ojców, mężów i braci utrwalać będziemy w tem samem postanowieniu;

3) że mienia naszego w gotowiźnie nie wycofamy, ani za granicę, ani za kordony, lecz kapitały nasze w społecznej własnej zostawimy gospodarce;

4) że mimo ścieśniania swobody słowa ojczystego w życiu publicznem, bez wahania nadal będziemy pracowały w naszych instytucyach narodowych i społecznych;

5) że dzieci nasze i młodzież wogóle wychowywać będziemy w duchu szczerze narodowym;

6) że rozumiejąc doniosłe znaczenie oszczędności narodowej, wystrzegać się będziemy zbytku i życia nad stan, a krzewiąc poczucie ofiarności, zaoszczędzonym groszem zasilać będziemy potrzeby narodowe i pomnażać dorobek społeczny popieraniem własnego kupiectwa i własnego przemysłu.

Polacy w Ameryce. Prezydent Roosewelt przyjął na posłuchaniu delegacyę Polaków, która przybyła do Białego Domu, dla wręczenia prezydentowi rezolucyj, uchwalonych przez wiec polski, odbyty w Chicago dnia 26-go kwietnia, w sprawie ustawy rządu pruskiego o wywłaszczeniu Polaków. Wręczając prezydentowi rezolucye wiecowe, członek delegacyi, ks. Wojciech Furman, oświadczył, że Stany Zjednoczone obowiązane są ująć się za Polakami, krzywdzonymi przez Prusaków, choćby tak, jak ujęły się czasu swego za filipińczykami lub ormianami. Prezydent przyjął rezolucye, zapewniając delegatów, że weźmie je pod rozwagę.

Prusacy i Niemcy w Wiedniu. W Wiedniu odbyły się uroczystości jubileuszowe z powodu sześćdziesięciolecia rządów cesarza Franciszka Józefa. Cesarz pragnął, aby obchód miał charakter prywatny, lecz cesarz Wilhelm II narzucił się z hołdem swoim i wraz z kilku książętami Rzeszy niemieckiej przybył do Wiednia, aby uświetnić obchód jubileuszowy sędziwego monarchy. Sprawił mu przykrość, bo przypomniał mu ciężkie ciosy, jakie z ręki Prus spadły na Habsburgów.

Cofnijmy się bowiem wstecz dla zrozumienia ile nierozważnym był król pruski, a cesarz niemiecki Wilhelm II.

W dniu 17-ym sierpnia 1863 r., gdy obecny król pruski i cesarz niemiecki był zaledwie pięcioletniem dzieckiem, cesarz Franciszek Józef zgromadził około swej osoby wszystkich książąt Rzeszy niemieckiej, zaprosiwszy ich na kongres do Frankfurtu.

Zagrożona w Niemczech dynastya habsburska zdobyła się wówczas na krok stanowczy i wezwała książąt, aby obmyślić nowy ustrój wewnętrznej organizacyi Związku niemieckiego. Na czele tego Związku stanąć miało pewnego rodzaju prezydyum, złożone z pięciu panujących niemieckich, a wszystkie uchwały i postanowienia zapadać miały prostą większością głosów.

Rzeczywiście też na wezwanie cesarza przybyli wszyscy królowie i książęta niemieccy — z wyjątkiem — króla pruskiego, który za radą Bismarka postanowił już był dążyć do zupełnie innego celu. Było tych władców małych państewek niemieckich wówczas więcej jeszcze niż dzisiaj, a właśnie ci, którzy wówczas stali najmniej po stronie habsburskiej, utracili później trony i państwa swoje na rzecz Prus.

Intrygi też pruskie sprawiły, że projekt cesarza Franciszka Józefa nie uzyskał większości, że nawet w dość szorstkiej formie go odrzucono, w kilka zaś lat później, na krwawem polu Sadowy, Pru-

sy zupełnie wyparły Austryę ze Związku Rzeszy niemieckiej i zgotowały starej dynastyi habsburskiej jedno z najcięższych upokorzeń.

Od tego czasu cesarz Franciszek Józef nie widział już w koło siebie liczniejszego koła dawnych swoich „sprzymierzeńców“ z Rzeszy.

Stało się to w dniu jubileuszowym, za sprawą Wilhelma II-go, który wracając z wypoczynku na Korfu, gdzie kupił sobie dawną siedzibę cesarzowej Elżbiety, przybył do Wiednia, aby w otoczeniu kilkunastu książąt niemieckich, umyślnie zwołanych w tym celu, złożyć sędziwemu Habsburgowi życzenia jubileuszowe.

Jak zapewniają z dobrze poinformowanych źródeł, nikt w Wiedniu nie przypuszczał, iżby wśród uroczystości jubileuszowych wydarzyć się mógł taki akt niezwykły, zdawien dawna niebywały. Według intencyi cesarza Franciszka Józefa, obchód jubileuszowy miał się odbyć jak najskromniej, zapisać się w dziejach nie przepychem uroczystości, lecz dziełami humanitarnemi. Nawet pochód jubileuszowy w Wiedniu formalnie narzucono kołom dworskim. Ta intencya sędziwego monarchy była zupełnie zrozumiała wobec podeszłego jego wieku, wielu gorzkich i bolesnych wspomnień z jego sześćdziesięcioletnich rządów, a niemniej wobec bardzo nadwątlonego już stanu jego zdrowia. Zapowiedź wizyty książąt niemieckich zapewne też była wielką dla dworu wiedeńskiego niespodzianką, a trudno przypuszczać, iż była niespodzianką miłą.

Trudno było ten „hołd pruski“ odrzucić; owszem, musiano przyjąć tak nadzwyczajną uprzejmość. To też Wiedeń rozbrzmiewał uroczystemi echami zbiorowych odwiedzin królów i książąt niemieckich, na których czele pysznił się cesarz Wilhelm II, jako autor pomysłu. Gdyby szło o odnowienie w duszy sędziwego jubilata najboleśniejszych wspomnień, byłby to pomysł niezrównany; ponieważ jednak takiej pobudki ze względów politycznych niepodobna przypuścić — jest to więc pomysł bezgranicznie niefortunny.

Pod względem politycznym, manifestacya książąt Rzeszy niemieckiej nie posiada poważniejszego znaczenia. Słusznie mówi „Nowa Reforma“, że ludy monarchii habsburskiej nic nie straciły, przeciwnie nawet zyskały na przewrocie dziejowym, który wyrzucił Austryę po za związek niemiecki. Dopiero potem Austrya stać się mogła tem, czem jest dziś i czem być powinna: związkiem ludów wolnych w swym narodowym bycie. Bądź co bądź jednakże był to przewrót przykry dla dynastyi habsburskiej, a przeto odświeżania rany z okazyi osobistej uroczystości jubileuszowej cesarza Franciszka Józefa nie można uznać za objaw delikatności uczuć.

Ale o tem nie myślą w Berlinie.

Wykup ziemi polskiej przez Niemców. Bardzo smutne wieści nadchodzą wciąż z różnych stron naszego kraju. Niemcy, którym ciasno jest u siebie, zamiast wędrować gdzie w świat, wciskają się pomiędzy nas, wykupując po mału, ale nieustannie naszą ziemię. Są takie okolice, dawniej czysto polskie, gdzie dzisiaj ani jednego już Polaka gospodarza niema, jakby to był kraj nie polski, ale niemiecki. I tak jest obecnie nietylko na Pomorzu polskiem i w części Wielkopolski, zwanej Księstwem Poznańskiem, a będącej dziś, również jak Pomorze, pod panowaniem prusko-niemieckiem, gdzie sam rząd pruski ziemię polską wykupuje i Niemców na niej osadza, ale tak samo jest też w wielu okolicach Galicyi pod panowaniem austryackiem oraz w Królestwie Polskiem. W Galicyi mieszka już obecnie około ćwierć miliona Niemców, a w jednym tylko naprzykład powiecie chrzanowskim mają oni w swych rękach przeszło 2 tysiące morgów ziemi. W guberniach Królestwa zaś mieszka teraz pół miliona Niemców, a wszyscy oni nie zrywają łączności ze swoją ojczyzną i radziby przykładać się do wzrastania jej mocy. Liczne gospodarstwa niemieckie są już u nas na Kujawach, w Kaliskiem, Piotrkowskiem, Rawskiem, pod Warszawą, na Podlasiu, w Lubelskiem i we wszystkich innych stronach kraju. W powiecie chełmskim, w Lubelskiem, Niemcy wykupili w ciągu ostatnich dziesięciu lat aż 15 tysięcy morgów; obecnie zaś jest tam do sprzedania kilka folwarków, razem około 4 tysięcy morgów, a wszędzie kręcą się Niemcy, żeby je wykupić. Ale najbardziej zagrożone są przez nich w Królestwie Polskiem strony płockie, a zwłaszcza powiaty rypiński, lipiński i płocki. Tam bardzo dużo ziemi polskiej przechodzi wciąż do Niemców, a od nich do Polaków ani jeden zagon nie powraca. Tam są już całe okolice, gdzie po polsku się nie dogadasz, a nasi, nie zważając na to, wciąż Niemcom ziemię wyprzedają. Przechodzą w ich ręce i drobne, i większe gospodarstwa. W ostatnich kilku latach, w okolicach Rypina rozsprzedano osadnikom Niemcom aż pięć dużych folwarków: Kłośno, Michałki, Zduny, Cetki, a teraz rozsprzedają się jeszcze: Mościska, Sumówko, Dębiany i Kazimierzewo. Zalewają więc nas Niemcy coraz bardziej, bo wielu naszych gospodarzy nie odczuwa tego należycie, że ziemia, którą posiadają, nie jest tylko ich własnością, lecz własnością całego narodu. Kto ją sprzedaje w obce ręce, ten dopomaga obcym rozpościerać się w naszym kraju ku większemu pognębieniu swoich rodaków, ten ciężko grzeszy przeciw własnemu narodowi, ten jest poprostu zdrajcą swej ojczyzny.

Wybory w Finlandyi. Najjaśniejszy Pan podczas pobytu Swego w Carskiem Siole dnia 22-go marca (4-go kwietnia) r. 1908 Najwyżej rozkazać raczył dokonać — zgodnie z § 37 zatwierdzonej Najwyżej w dniu 7 (20 lipca) r. 1906 ustawy o wyborach dla Wielkiego Księstwa Finlandzkiego — nowe wybory na posłów na sejm i rozpocząć je w d. 1-ym lipca r. 1908 według nowego stylu.

Z Indyi. Afgańczycy, których królestwo leży w Azyi pomiędzy panowaniem Rosyan w Turkiestanie a panowaniem Anglików w Indyach, rozpoczęli wojnę z Anglikami. Kilkanaście tysięcy Afgańczyków przeszło w dwóch miejscach swoją granicę i wkroczyło pod panowanie angielskie, aby pomódz plemieniu Momandów, które powstało przeciw Anglikom. Większa część Afgańczyków, dobrze uzbrojonych, poszła ku miejscowości Landighotalu, zajętej przez piechotę i jazdę angielską z 8 armatami, druga zaś część poszła do doliny Bazarskiej. W dzień 2 maja widziano wojsko afgańskie na zachodzie od Landighotalu, a następnej nocy napadło ono na Anglików w Micznigondzie i Karawanseraju, ale zostało odparte.

Następnie wojsko angielskie wyruszyło na Afgańczyków i napadło na nich na zachodzie od Landighotalu. Afgańczycy nie bardzo się bronili i umknęli zaraz na początku bitwy. Anglicy wyparli cały ten oddział za granicę afgańską.

W północno-zachodnim kącie Indyj, w pobliżu granicy afgańskiej, Anglicy mają już w pogotowiu znaczne siły zbrojne.

Wątpliwą jest rzeczą, aby to rząd afgański sam wszczynał tę wojnę. Afganistan jest państwem niedużem i słabem, i wraz ze swym królem czy księciem, nazywanym tam emirem, znajduje się między Rosyą i Anglią, niby między młotem a kowadłem. Król afgański starał się dotąd utrzymywać zgodę z obu temi wielkiemi mocarstwami i udawał przyjaciela i jednych i drugich. Od Anglii pobiera on nawet ogromną płacę roczną, wynoszącą około miliona rubli.

Kto go podburzył do awanturniczej walki — niewiadomo. Nie brak jednak poszlak, że działa w tym wypadku ręka niemiecka, aby w mętnej wodzie łatwiej było ryby łowić.

Od granicy Persyi i Turcyi azyatyckiej niema obecnie żadnych pewnych wiadomości, i niewiadomo, co się tam dzieje. Niepokój wszakże trwa tam ciągle; nie ustają przeróżne zamachy, napady i rozboje, zbierają się tu i owdzie kupy zbrojnych krajowców i przeciągają wojska rządowe.

Z Persyi. Z okręgu miasta Urmii, pogranicza Persyi i Turcyi nadchodzą coraz gorsze wiadomości. Gromady uzbrojonych Kurdów napadają wciąż na wsie i miasteczka perskie, rabują dobytek, zabijają mężczyzn, a kobiety i dzieci uprowadzają do niewoli. Zajeli oni wszystkie drogi prowadzące do Urmii i rabują kupców, wiozących towary do tego miasta. Urmia przepełniona jest zbiegami ze wsi okolicznych. Z powodu braku żywności mieszkańcom miasta zaczyna dokuczać głód. Kurdowie doradzają mieszkańcom okręgu, aby przyjęli poddaństwo tureckie, jeżeli chcą uniknąć dalszych napadów. Kilka wsi zgodziło się na to, inne jednak odmówiły. Dowódca Kurdów zbiera przemocą podatki ze wsi i młynów. Rząd perski wysłał teraz przeciwko Kurdom 10 tysięcy wojska. Rząd turecki zapewnił posła perskiego w Konstantynopolu, że nie jest winien tym napadom; mało kto jednak temu wierzy.

Na granicy perskiej. W gazecie „Kawkaz“ wydrukowano wyjaśnienie z powodu działań oddziału generała Snarskiego na granicy perskiej.

O 6 wiorst od posterunku pogranicznego na terytoryum rosyjskiem założył osadę Pers, Mamodhulikan, skąd dokonywane były gwałty i napady na Rosyan. Układy z władzami perskiemi nie doprowadziły do niczego. W roku bieżącym napady i rozboje przybrały charakter szczególnie ostry. Podczas trzech ostatnich miesięcy zabito 4 strażników pogranicznych, 10 raniono, a wreszcie zabito z zasadzki rotmistrza Dwojegłazowa i 2 szeregowców. Zuchwalstwo zbójów perskich doszło do szczytu.

Główny dowódca wydelegował na granicę Persyi oddział wojska trzech rodzajów broni pod wodzą gen. Snarskiego.

Oddział otrzymał zlecenie następujące: 1) zażądać wysiedlenia Persów, a w razie oporu usunąć ich siłą zbrojną. Po wydaleniu mieszkańców, oszczędzając kobiety i dzieci — osadę zniszczyć; 2) zażądać od plemion pogranicznych natychmiastowej kontrybucyi na podstawie wyroku sądu pogranicznego, jako odszkodowania dla rodzin zabitych Dwojegłazowa i żołnierzy, oraz zwrotu kosztów za wysłanie wojska za granicę, zwrotu strat za zajęcie posiadłości rosyjskich i dania zobowiązania do niedopuszczania Persów do rozbojów w granicach Rosyi.

Dla wykonania powyższych zleceń, w razie potrzeby, generałowi Snarskiemu pozwolono przejść ze swym oddziałem granicę Persyi.

W razie, gdyby rozbójnicy usiłowali zatrzymać ruchy oddziału, winnych należy ukarać, oszczędzając spokojnych mieszkańców.

Obawa wojny. *Gołos Moskwy* karmi wciąż swych czytelników sensacyjnemi pogłoskami o przygotowaniach Turcyi do wojny z Rosyą i o zmobilizowaniu czterech korpusów tureckich na granicy Kaukazu.

Nietakt posła niemieckiego. W parlamencie niemieckim podczas owych niedawnych posiedzeń, na których uchwalono ohydne prawo wywłaszczenia Polaków w Poznańskiem, wynikła głośna awantura. Oto poseł Groeber nazwał sprawozdawców pism, którzy znajdują się zawsze na posiedzeniach parlamentu—„świńtuchami". Dotknięci tem dziennikarze urządzili gromadny strejk i dopiero po przeproszeniu i wytłumaczeniu się Groebera powrócili do pracy. Ale przez kilka dni w parlamencie wrzało, jak w szynkowni.

Japończycy w Korei. Rząd japoński zamierza zaprowadzić w administracyi koreańskiej zmiany znaczne. Zdetronizowany cesarz koreański ma być przewieziony do Japonii, ministrowie koreańscy będą zastąpieni przez japońskich, przeciwko zaś armii koreańskiej, w której panuje wciąż nastrój wrogi dla Japończyków, mają być przedsięwzięte środki energiczne.



ZŁOTE MYŚLI.

Chcesz, aby podwładni byli dobrzy dla ciebie, bądź dobrym dla nich.

Z wielu złych rzeczy — najgorszą jest złośliwy język.

NIE ZABIJAJ!

O pielęgnacyi wzroku.

Szacowne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się popsujesz...

Wiersz powyższy, tyczący się zdrowia wogóle, szczególnie trafnie przystosować się daje w wypadku utraty wzroku.

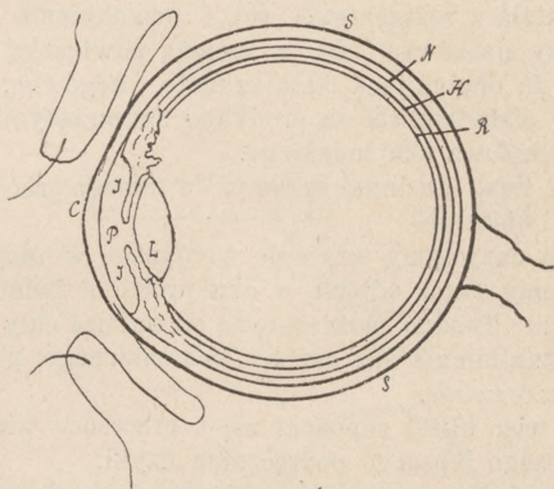
Człowiek, mający dobry wzrok, ani się zastanawia, jaki skarb posiada. Jest wówczas panem świata, podziwia niezliczone cuda Najwyższego Stwórcy, wielbi Go w Jego stworzeniu... W tem nagle przychodzi jakaś katastrofa, choroba, wypadek nagły, i oto człowiek zostaje odcięty od świata, pogrążony w noc wieczną. I wówczas dopiero czuje, co stracił.

Oko jest bez wątpienia najdelikatniejszym i najsztuczniej zbudowanym organem ciała ludzkiego. Ponieważ często bardzo przez lekkomyślność, lub wprost nieświadomość narazić się możemy na nieszczęście ślepoty, przeto wartoby było zastanowić się dobrze nad tem, jak zbudowane jest oko ludzkie, co znaczą i wskutek czego pochodzą takie wypadki, jak krótki i daleki wzrok, co szkodzi wzrokowi, o rozmaitych chorobach oczu i t. p. Jednak nie jest to sprawa łatwa i wymaga chwili cierpliwości i poważnego zastanowienia się. Zwłaszcza dobrze należy zrozumieć i zdać sobie sprawę z tego, jak zbudowane jest oko, z czego się składa, w jaki sposób powstaje czucie widzenia i t. d.

Są to przecie rzeczy tak blizko nas obchodzące, że nie powinniśmy oszczędzać chwili trudu na ich zbadanie, bo uświadomienie pod tym względem opłaci się nam sowicie, wyjaśni dużo rzeczy, z których może jasno nie zdajemy sobie sprawy i nieraz ochroni nas od największego kalectwa, jakiem jest utrata wzroku, ślepota.

Oko ludzkie ma kształt prawie kulisty i za pomocą mięśni jest silnie osadzone w głowie ludzkiej. Natura sama pomyślała o odpowiedniem zabezpieczeniu tego delikatnego aparatu. Obsadzone w głębi czaszki, za pomocą przytrzymujących je mięśni, może oko wykonywać dosyć rozległe ruchy obrotowe, to jest wykręcać się na różne strony. Instynktownie zamykające się powieki i rzęsy chronią je przed niebezpieczeństwem, a łukowato nakreślone brwi przed z czoła ściekającym potem.

Przy pomocy podanego rysunku (№ 1), który przedstawia planowy rysunek oka ludzkiego w przecięciu, zapoznajemy się szczegółowiej z jego budową.



Rys. 1.

Układ oka.

Wnętrze gałki ocznej wypełnione jest gęstą, płynną, szklistą massą, zwaną *ciałem szklistem.* Ścianka oczna składa się z kilku leżących jedna na drugiej błonek, z których pierwsza, zewnętrzna (*S*) nazywa się *białkiem oka.* Część tej powłoki oznaczona na rys. literą *C* jest przezroczystą. Znajduje się ona na przedniej części oka i nazywa *błonką rogową*, lub też *rogówką.* Rogówka jest więcej wypukła, aniżeli reszta gałki ocznej. Jest ona wprawiona w powłokę *S* w podobny sposób, jak szkiełko od zegarka w swoją oprawę. Pod zewnętrzną powłoką *S* znajduje się druga powłoka ciemna i nieprzezroczysta (oznaczona na rys. literą *N*). Za rogówką w przedniej stro-

nie oka znajduje się zasłonka z okrągłym otworem we środku, t. z. *źrenicą*. Zasłonka ta, to *tęczówka* (*J*). Jest ona u różnych ludzi rozmaicie zabarwiona i od niej zależy kolor oka. Za źrenicą znajduje się okrągły, wypukłopłaski, przezroczysty kamyczek, zwany *soczewką* (*L*).

Soczewka składa się z warstw różnej gęstości, ułożonych jedna na drugiej tak, jak np. w cebuli. Dzieli ona oko na dwie, zupełnie zamknięte przestrzenie, z których przednia zawiera przezroczystą ciecz, zwaną *cieczą wodnistą*, a druga, stanowiąca większą część oka, wypełniana jest tak zwanem *ciałem szklistem*, o którem już powyżej wspominaliśmy.

Wewnętrzna część ścianki ocznej, wysłana jest t. z. *siatkówką* (*R*), która powstała z rozszerzenia się i rozgałęzienia nerwu wzrokowego. Między siatkówką (*R*), a ciemną powłoczką znajduje się jeszcze błonka *H*, obejmująca ciało szkliste. Rogówka, ciecz wodzista, soczewka i ciało szkliste są środkami skupiającymi światło.

Taką jest budowa oka ludzkiego.

Przejdźmy teraz do innej sprawy, do samego procesu widzenia.

Co to jest widzenie?

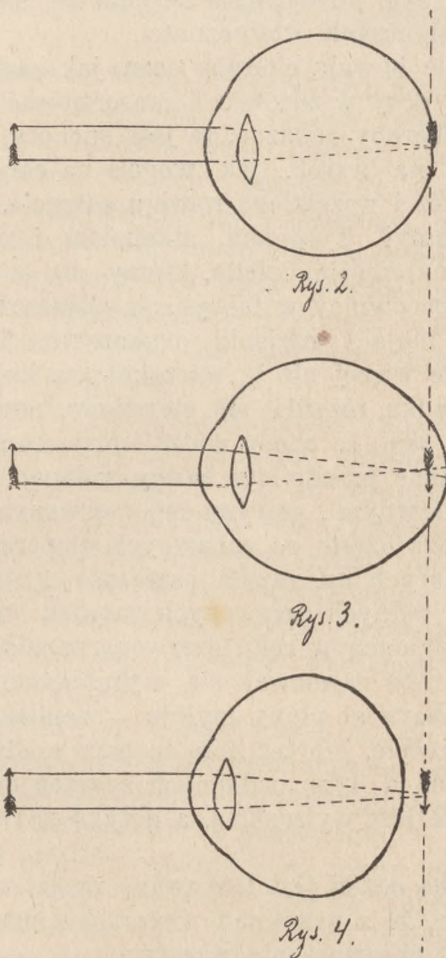
Widzeniem nazywamy wrażenie wzrokowe w umyśle naszym, jakie otrzymujemy przez odbicie w oku promieni świetlnych od danego przedmiotu. Trudno może narazie zrozumieć cały ten przebieg bez pewnego oznajmienia się, choćby elementarnego, z działem fizyki, traktującym o *świetle*.

Chcących więc bliżej zapoznać się z procesem widzenia odsyłamy do pierwszego lepszego podręcznika fizyki.

Tu powiemy tylko w kilku słowach, że promienie świetlne przez otwór w oku, zwany *źrenicą*, padają na soczewkę, tu skupiają się i załamują i na wewnętrznej części ścianki ocznej, *siatkówce*, składającej się z gałęzi nerwu wzrokowego, wywołują pewne podrażnienie, które przechodząc do mózgu, wywołuje tam wrażenie widzenia. Rozumie się, iż cały proces zależny jest od aparatu, t. j. oka. Jeżeli oko zbudowane jest prawidłowo, to i wrażenia wzrokowe otrzymujemy naturalne. Jeżeli zaś oko posiada jąkąś wadę, to i wrażenia wzroku są niepełne, t. j. obraz przedstawia się nam niejasno. A tam, gdzie oczu niema zupełnie, lub gdzie są całkowicie uszkodzone, nie może być mowy i o wrażeniach wzrokowych.

Oko ludzkie może być trzech rodzajów: oko *normalne*, które widzi dobrze zarówno przedmioty blizkie jak i bardziej oddalone, następnie, oko *krótkowidzące* i *dalekowidzące*. Oba ostatnie wypadki mają miejsce wówczas, gdy promienie świetlne załamują się w sposób

niezadawalniający, wskutek nieprawidłowej budowy oka. (Patrz rys. 2, 3, 4). Przedmioty wtedy tylko są widzialne wyraźnie i dokładnie, gdy obrazy ich padają na samą siatkówkę. (Rys. 2). Jeżeli obraz przedmiotu odległego pada przed siatkówką, wtedy mówimy, że osoba mająca tego rodzaju oczy jest *krótkowidzem*. (Rys. 3). Taka wa-



Układ oka.

da oczu może być poprawiona za pomocą okularów, złożonych ze szkieł wklęsłych.

Jeżeli obraz bliskiego przedmiotu pada po za siatkówkę, wtedy mówimy, że osoba z tą wadą oczną jest *dalekowidzem*. Do poprawie-

ńia tej wady oczu należy użyć okularów, złożonych z soczewek wypukłych.

Tyle o budowie oka i jego wadach naturalnych. Lekarz okulista powinien sam dobrać w razie potrzeby szkła odpowiednie.

Przy pomocy dobrze dobranych okularów oko się stopniowo naprawia, zaś w razie przeciwnym stopniowo się pogarsza i dojść może do bardzo smutnych ostateczności.

A teraz, jakie bywają choroby oczu, jak zachowywać się trzeba, aby utrzymać oczy w zdrowiu i konserwować wzrok?

Wszystkie choroby zakaźne, to jest suchoty, ospa, szkarlatyna i t. d. wywierają na wzrok, jak wogóle na cały organizm wpływ zgubny. Podobnież i wszelkiego rodzaju zatrucia. A czem najczęściej się zatruwamy? Tytoniem, alkoholem i ołowiem. Zatruciu ołowiem ulegają najczęściej ludzie, którzy się z nim bezpośrednio stykają. Więc pracownicy w fabrykach, zwłaszcza zecerzy w drukarniach, lub też mający czcionki drukarskie. Tytoniem i alkoholem truje się stale więcej niż $^3/_4$ mieszkańców kuli ziemskiej. Choroba w tym wypadku rozwija się stopniowo, powoli. Pierwsze objawy polegają na tem, że chory widzi lepiej o zmroku, niż w czasie jasnego dnia. Drobne przedmioty barwy zielonej lub czerwonej wydają się mu bezbarwnymi, szarymi lub czerwonymi.

To doprowadza często do zabawnych nieporozumień i wypadków. Jeden z chorych np. zapala papierosa i dziwi się dlaczego już nie fabrykują ładnych czerwonych zapałek i mówiąc to, patrzy uporczywie na trzymaną w ręku czerwoną zapałkę. Albo ktoś inny, dotknięty tąż chorobą zajmował się wyrabianiem likierów i często przez pomyłkę zabarwiał płyny mylnie — zamiast czerwonego, robił zielony i odwrotnie, lub też obie te barwy lokował w jednej butelce. Dużo takich i tym podobnych zdarzeń opowiadają lekarze. Choroba ta jednak jest wyleczalną, a dotyka zazwyczaj dopiero około 40 roku życia.

Znaną chorobą oczną jest tak zwana przez lud „kurza ślepota“, polegająca na tem, że z nastaniem zmierzchu chory nic nie widzi. Przyczyną jest tu przemęczenie wzroku.

Ulegają mu najczęściej pracujący na skwarze słonecznym, na błyszczącej powierzchni wody (np. rybacy), a przytem źle odżywiający się.

W wypadku zatrucia ołowiem, dostrzedz się dają te same wady, co i przy otruciach tytoniem i alkoholem. Oprócz tych, towarzyszą im jeszcze bóle głowy i silne osłabienie wzroku. Otrucie być może przez wdychanie cząsteczek ołowiu, bądź przez bezpośrednie

zetknięcie się oka z ołowiem. Baczyć więc należy na czystość rąk i dobrą wentylacyę sal, w których nad ołowianymi materyałami się pracuje.

Jest pewien nerwowy ból głowy, zwany *migreną*, który zazwyczaj ma miejsce po jakichś silnych wstrząśnieniach moralnych, po zbyt wesołej zabawie, po teatrze, zmęczeniu cielesnem i duchowem, po niewyspaniu się i t. p.

Migrena jest chorobą częstą i zazwyczaj dziedziczną. Oprócz nieznośnego bólu głowy (zazwyczaj w jakiemś jednem miejscu głowy) przyćmiewa wzrok, sprawia rodzaj migania przed oczyma, t. z. latające płatki, światełka, widzenie połowiczne wielkich przedmiotów i t. p. Trwa to jednak niedługo, kwadrans, najwyżej pół godziny. Po wywczasowaniu się przechodzi zupełnie. Kto tego rodzaju cierpieniom ulega, powinien bardzo zwracać na siebie uwagę. Trzeba panować nad nerwami, unikać zbytniego przemęczenia, scen denerwujących, powinien dobrze się odżywiać, wysypiać, a unikać wszelkich trunków rozpalających.

Do najczęstszych chorób ocznych należą choroby powiek. Tu podkładem bywa najczęściej choroba krwi, skrofuły. Wszelkie zapalenia powiek, t. z. „jęczmienie“ i t. p. tu najczęściej mają początek. Pamiętajmy o tem, że powieka, jako najbliżej stykająca się z gałką oczną, w razie choroby wymaga bardzo troskliwego dozoru, a nadewszystko czystości, bo w razie przeciwnym zapalenie przenieść się może na całe oko i wówczas grozi całkowitą utratą wzroku. Trudno w formie krótkiej pogadanki wyczerpać wszystkie możliwe wypadki chorób ocznych.

Powiedzieć jeszcze należy o *katarakcie* i *jaglicy*.

Kataraktą nazywamy błonkę nieprzezroczystą, zakrywającą rogówkę. Chory nie widzi zupełnie. Przy zręcznej operacyi przecież udaje się ją usunąć i choremu wzrok przywrócić.

Jaglica zaś, czyli *egipskie zapalenie oczu* należy do najcięższych i jednej z częstszych chorób ocznych. Jest to choroba nieznośna, bo długo trwająca i zaraźliwa. Pod powiekami tworzą się maleńkie wyrzuty, przypominające ziarnka kaszy jaglanej. Choroba ta, choć wyleczalna przy starannej kuracyi, trwa przecież długo, po kilka miesięcy i często człowieka, skądinąd zupełnie zdrowego, czyni niezdolnym do pracy. Jaglica, dawniej mało znana w Europie, przedostała się do nas z Egiptu, w czasie pochodów Napoleońskich.

Zarażeni żołnierze roznieśli ją po całym świecie. Profesor dr. Hirschberg z Berlina, zbierał dane statystyczne, tyczące się wypadków choroby jaglicy. Oto kilka przykładów: w Moskwie na 1000

ocznych chorych 24 — 40% ma jaglicę, w Petersburgu 96%, w Łodzi 116%, w Warszawie 124%, w Kijowie 250%.

Zaraza przenosi się najczęściej za pomocą używania zakażonych ręczników, ubrania, pościeli, miednicy do mycia i t. p.

Jeżeli więc kto w domu zachoruje na jaglicę, powinno go się zaraz oddzielić od reszty zdrowych osób, gdyż to jest jedyny sposób ocalenia innych od zarazy. Chory powinien mieć swoje oddzielne ręczniki, bieliznę, naczynia do mycia i t. d. Niedawno np. w Berlinie zaraziło się aż 30 osób, które kąpały się po sobie w jednej wannie.

Obecnie najwięcej rozszerzają u nas jaglicę żołnierze, rozsyłani do różnych okolic Cesarstwa, lub też wychodzący za zarobkami. Trzeba nad tymi rozpostrzeć baczną opiekę lekarską.

Uczony profesor dr. Ławrentjew pisze, że do niedawna jeszcze Rosya środkowa wolna była od tej choroby. Od czasu dopiero, jak zaczęto wysyłać wojska na zachód i południe, jaglica tam szerzyć się poczęła i jak wykazują liczby, stan pogarsza się stale.

Wielu czytelnikom może się nasunąć teraz pytanie, w jaki sposób się bronić i co powinny postanowić rządy państwowe, aby położyć tamę zarazie?

Profesor Hirscherg tak się o tem wyraził na zjeździe lekarskim w Moskwie (1897 r.): „Jest pytanie, co czynić? Pytanie łatwiejsze od odpowiedzi, zaś odpowiedź od wykonania planu. Jeden na to ratunek, zebrać chorych, np. żołnierzy i nie wypuszczać z lecznicy dotąd, dopóki nie wyzdrowieją zupełnie. Jeżeli jaglica objawi się w szkole, to szkołę zamknąć, dzieci zbadać i po upływie określonego czasu dopiero pracę dalej prowadzić. Innej rady nie widzę.“

Lecz plan taki jest naprawdę trudnym do wykonania, jeżeli weźmiemy pod uwagę długotrwałość i popularność choroby. Więc jak sobie radzić? Otóż przedewszystkiem objaśniać należy i nauczać nieświadomych.

W wypadku zasłabnięcia na oczy, choroby nie leceważyć, bo tu żartów niema i gdzie idzie o tak delikatną materyę, jaką jest wzrok i oczy, to każda, najmniejsza nawet choroba, jest niebezpieczną. W poprzedniej pogadance p. t. „Jak sobie radzić w nagłych wypadkach“ była już mowa o tem, jak postępować w razie zranienia lub oparzenia oka, teraz więc dodamy tylko jeszcze parę rad i wskazówek, jak żyć należy, aby dobry wzrok zachować, a słabego nie pogarszać. Prawidło czystości, ten fundament hygieny, jak w każdym, tak i w tym razie mieć winniśmy na uwadze. Zachować

czystość rąk, bielizny, ubrania. Żyć hygienicznie, nie pić trunków, nie palić! Oto główne paragrafy tej zdrowotnej ustawy.

Nie przemęczać wzroku zbyt długiem jednostajnem czytaniem. Gdy się czuje osłabienie oczu, odpocząć chwilę. Nie używać do lamp szkieł żółtych ani czerwonych, bo tego rodzaju światło bardzo wzrokowi szkodzi.

Nie czytać w pozycyi leżącej, zwłaszcza wieczorem przy słabem świetle lampy lub świecy.

Nienaturalne położenie, wykrzywienia oczu w jednym kierunku osłabia bardzo nerwy wzrokowe. Pracując w mieszkaniu, nie siedzieć na wprost okna, tylko z boku. Zwłaszcza należy na to zwracać uwagę dzieci.

Cóż więcej jeszcze?

Chyba ponownie ostrzedz przed wszelkiemi amatorskiemi poradami i lekami ogłaszanymi w gazetach. W razie zasłabnięcia udać się zaraz o poradę do lekarza.

Podług prof. dr. *J. Deyl'a.*

ZŁOTE MYŚLI.

Nic nie upadla bardziej duszy,
Niż nienawiści wstrętny jad...
Co złe, dłoń Boża sama skruszy,
Co dobre, uczci Bóg i świat!

Nasz Odkupiciel dzieckiem w Nazarecie
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił,
O, matko Polko, jabym twoje dziecię,
Przyszłemi Jego zabawkami bawił.

Adam Mickiewicz.

Nauka i zabawa.

W objęciach potwora. Niedawno spotkała jedną z bretońskich łodzi rybackich niezwykła przygoda. Oto otoczyło ją mnóstwo polipów morskich i o mało że nie wciągnęło na dno morza.

— Co to są polipy morskie?...

A oto posłuchajmy:

Nurcy, którzy w specyalnych przyborach, zwanych skafandrami, spuszczają się na dno morskie, często narażeni bywają na liczne niebezpieczeństwa; potwory, żyjące w oceanach, często pierwsze zaczepiają nurka i zmuszają do obrony. Niedawno zdarzył się następujący wypadek. Okręt angielski „Druwegan Castle“, zbliżający się do portu Capetown, tak silnie uderzył o nasyp, że cała masa głazów runęła na dno morskie, mniej więcej na głębokość dziesięciu do piętnastu metrów.

Trzeba było za wszelką cenę i o ile możności jak najprędzej głazy te z dna morskiego usunąć.

Nie było to zadanie łatwe.

Natychmiast udano się o pomoc do nurków, na których czele stał zasłużony i słynący od lat przeszło dwudziestu z odwagi swej i zręczności M. H. Palmer.

Jakoż pewnego dnia Palmer, jak zwykle spuścił się na dno morskie, i w chwili, kiedy chciał już zaczepić łańcuch za wystającą część olbrzymiego głazu, uwagę jego pochłonęło coś niezmiernie ciekawego — jakiś dziwny przedmiot, wystający z głębi otworu, a raczej szczeliny, znajdującej się u podstawy kamienia. Woda w miejscu tem była o tyle przezroczysta, że nurek mógł wyraźnie widzieć wszystko, co się dokoła niego działo.

Palmer pochylił się nieco, aby się lepiej przyjrzeć owemu zagadkowemu przedmiotowi i kiedy zdumiony zadawał sobie przez chwilę pytania, co to takiego być może, naraz spostrzegł, że przedmiot ten zaczyna się poruszać i posuwać wprost ku niemu.

Olbrzymia macka, na kształt węża, wysuwa się z pod głazu i w mgnieniu oka obwija się dokoła nogi Palmera, ciągnąc go mocno. Przerażony nurek chciał się cofnąć, lecz zaledwie poruszył się, wnet druga macka pochwyciła go za rękę.

Nieszczęśliwy napróżno starał się wydostać z tego uścisku; macki tak mocno przylgnęły do jego ciała, że niepodobna było ich oderwać.

Jednocześnie Palmer uczuł, że macki ciągną go coraz więcej w stronę otworu, jak gdyby do paszczy, wiodącej do głębokiej jamy, pod głazami.



Nurek, pracujący na dnie morza, spostrzega polipa.

Tam to znajdowało się potworne zwierzę o olbrzymich mackach -- łapach.

Palmer nie był tchórzem, niebezpieczeństwa nie były dlań nowością, przytem nie był jeszcze starym i siły miał jeszcze dosyć, a jednak znalazłszy się w tak tragicznem położeniu, nie wiedział na razie, co począć i czuł, że traci przytomność.

Potwór, spostrzegłszy, że ofiara broni się zawzięcie i nie pozwala się przyciągnąć, wypełza sam z ciemnego otworu. Palmer ujrzał wtedy dziób, jak u papugi i oczy błyszczące olbrzymiego po-

lipa morskiego. Po chwili liczne macki tego potwora otoczyły nurka ze wszech stron, krępując go silnie.

Ale on bez wytchnienia mocował się z polipem, próbując w rozmaity sposób z jego uścisków się wydostać; lecz próżne to by-



Nurek w walce z polipem.

ły wysiłki: im więcej się szamotał, tem więcej czuł się skrępowanym, jak gdyby powrozami.

Macki, czepiając się jedna drugiej i obwijając się dokoła nieszczęsnej ofiary, w całości przylgnęły do niej zimnem, śliskiem i drżą-

cem swem ciałem, a uścisk ten był tak silny, że niepodobna było oprzeć mu się.

Wtedy to Palmer wpadł na myśl, że można przecież te wstrętne łapy poprzecinać, sięgnął więc po nóż, lecz ku wielkiemu przerażeniu i zdumieniu swemu nie znalazł go przy sobie.

Oto dnia tego, spuszczając się na dno morskie, zapomniał zupełnie wziąć z sobą jakiejkolwiek broni.

— Ach, cóż to za straszne ślepie! Jak one blizko są moich oczu! To chyba przewidzenie! To zmora nocna! — szeptał nieszczęśliwy nurek.



Marynarze usiłują uwolnić nurka z uścisków polipa.

Być może, że ten uścisk stałby się naprawdę śmiertelnym dla każdego, ale nie dla Palmera.

Począł walczyć, nie poddał się rozpaczy.

Macki tego potwora — to istne powrozy, które tak mocno go ściskały, że nie mógł się z tych więzów wydostać.

Palmerowi z całą dokładnością przypomniały się opowiadania nurków, którzy nieraz zaskoczeni byli przez polipy morskie, lecz znacznie mniejszych rozmiarów, iż pozbywali się ich tylko w ten sposób, że przewracali je do góry grzbietem. Lecz jak tu sobie poradzić z takim oto potworem, który jego pochwycił?

Nie było żadnej rady.

A więc wypadnie zginąć? Jak? Czy się będzie zmiażdżonym przez to wstrętne zwierzę? A więc odzież będzie porozrywana na kawałki? A kiedy zwierzę dostanie się do gołego ciała, to już z pewnością poszarpie je na części.

Takie myśli snuły się Palmerowi po głowie. Instynktownie jednak poruszył on mocniej jedną ręką i czuł, że może nią ruszać. Uczynił to kilka razy, powiódł ręką dokoła siebie, przyszedł do



Polip morski zwyciężony.

wniosku, że polip cały już wyszedł ze swej nory i zupełnie okręcił się dokoła jego ciała.

Otucha wstąpiła w nurka. Gdyby bowiem polip przyczepiony był do skały lub głazu, to z pewnością dla Palmera nie byłoby już żadnego ratunku, a my nicbyśmy nie wiedzieli, co się z nim na dnie morza stać mogło.

Zdobywa się więc Palmer na nadludzki wysiłek, odpędza od siebie strach i obrzydzenie, jakie w nim budził ten potwór, i ręką swobodną pociąga mocno za linę, do której był przywiązany, i nie-

bawem zostaje wyciągnięty przez towarzyszów swych na brzeg morza.

W chwili, kiedy go ciągniono do góry, polip chciał się przyczepić do dna morskiego, lecz było już za późno: podniesiono go już zbyt wysoko.

Palmer i polip wydostali się na powierzchnię morza.

Jakież musiało być przerażenie majtków, gdy ujrzeli towarzysza swego w objęciach olbrzymiego polipa.

W jednej chwili zrozumieli całą grozę położenia, w jakiem się znalazł ich towarzysz na dnie morza. Polipa natychmiast zabito toporem; majtkowie jednak musieli się dobrze napracować, nim zdołali uwolnić towarzysza z pęt wroga.

Gdy zabitego potwora rozciągnięto na ziemi, przekonano się, że był to jeden z największych okazów, jakie w tej części morza spotykano.

Odległość pomiędzy końcem jednej macki, a drugiej wynosiła niemal cztery metry, objętość zaś macki w najgrubszem miejscu równała się grubości ręki u tęgiego mężczyzny.

St. G.

Rozsądna uwaga. Lubo Chodkiewicz pokonał roku 1605 Gustawa Adolfa, lubo zadał cios ciężki przywłaszczycielowi cudzej korony pod Kircholmem, nie wrócił jednak Zygmunt III do Szwecyi, na tron ojcowski, i przez cały ciąg swego panowania, z pewnemi przerwami, wiódł boje ze stryjem o wydarte sobie prawa.

Z początkiem roku 1626 Gustaw Adolf przeniósł wojnę z Inflant, gdzie ją dotychczas toczył, do Prus, i prawie bez oporu zajął szybko bardzo jedno miasto za drugiem, między innemi Elbląg i Malborg.

Przerażony otrzymanemi wieściami, Zygmunt zebrawszy co najrychlej 8,000 jazdy i 3,000 piechoty kwarcianej, wyruszył w sierpniu z Warszawy pod Toruń, a za nim niebawem podążył hetman Stanisław Koniecpolski, znany z męstwa, rozsądku i licznych poświęceń dla kraju.

W wojsku hetmana Koniecpolskiego jeden z rycerzy zwracał na siebie szczególną uwagę smutkiem, co mu patrzał z oczu, małomównością i niecierpliwą chęcią, by raz do potyczki przyszło. Wkroczywszy do Warmii ze swoim oddziałem, hetman Koniecpolski rozłożył się obozem pod murami miasta Wormdst, które Szwedzi zajęli, i zapowiedział, że po nocnym spoczynku przypuści szturm do miasta, żeby przeto każdy przygotował sobie jeszcze wieczorem broń, zbroję, konia i na dane hasło był gotów do bitwy.

Nazajutrz o świcie rozległ się sygnał obiecany; porwawszy się ze snu, rycerstwo żwawo zbroje przywdziało, przypasali szable, nabite rusznice zawiesili na plecach, i niebawem cały hufiec gotowy do boju, stanął długim szeregiem, a hetman okiem znawcy obiegł go uważnie. Wtem wzrok jego zatrzymał się dłużej na jednym z rycerzy i czoło mu się zmarszczyło.

— Czy waszmość nie zdążyłeś wdziać pancerza, czyś go wczoraj nie przygotował? — zapytał surowo. Wiem, że go masz z sobą.

— Mam, lecz umyślnie nie włożyłem—odparł rycerz—a był to ten sam, co to wszystkich swym smutkiem zaciekawiał.

— To go włóżcie — odparł hetman. Pójdziecie na kule, one nie żartują i parzą śmiertelnie.

— Moje to będzie nieszczęście, gdy zginę, niczyje więcej — odparł z goryczą rycerz. Nikogo nie zasmuci śmierć moja: ni matka, ni ojciec, ni brat, ni siostra nie zapłaczą po mnie, wszyscy już są w grobie!

— Cóż to waszmość myślisz — odparł hetman—że życie nasze tylko do nas należy, tylko krwią nam blizkich obchodzi, a kraj, społeczeństwo, a przyjaciele, nie tracąż oni nic, gdy młodzian, pełen sił i zdrowia, marnie ginie? Cóż to, waszmość nie wiesz, jakie są nasze obowiązki względem tej ziemi, na której się urodziliśmy, względem braci, wśród których żyjem, względem tych druhów serdecznych, co nam nieraz w smutku życie osłodzili? Nie masz po co żyć, bo powiadasz, że nie masz rodziny, a ja ci mówię, że masz rodzinę, że to wielkie społeczeństwo, wśród którego żyjesz, to rodzina twoja, a ta pracę dla niej uznaniem i wdzięcznością ci zapłaci. Włóż więc natychmiast zbroję, nie zaciąży ci żelazo, a obroni od kuli i dłużej pozwoli służyć dla dobra powszechnego!...

Rozsądna ta uwaga trafiła do przekonania młodego wojaka. Przywdział pancerz i walczył dzielnie. Zdobywszy Wormdst, rycerstwo dalej podążyło i Szwedzi wyparci z Prus zostali.

Stanisław Koniecpolski, hetman koronny, pogromca kilkakrotny Turków, Tatarów i Szwedów, był jednym ze sławniejszych wojowników, którzy otaczali tron Zygmunta III.



Nowe książki.

Wyszło z druku dzieło: **„Jezuici w Polsce“**, — w skróceniu 5 tomów w jednym, z dwoma mapami — przez *księdza Stanisława Załęskiego.*

Jak szanowny autor w słowie wstępnem zaznacza, materyały do tego dzieła zbierał skrzętnie przez 36 lat, a samo opracowanie dzieła zajęło lat dziesięć i 6 miesięcy. Jest to więc praca źródłowa i sumienna, mająca na celu ułatwić polskiemu światu naukowemu studya nad dziejami Kościoła katolickiego i oświaty w Polsce, czytającej zaś publiczności dać użyteczną lekturę.

Talent szanownego autora sprawił, że pracę jego czyta się z wielkiem zajęciem, większem niż niejedną rozgłośną dziś powieść.

Cena dzieła 3 ruble.

Zawiadomienie.

W celu uniknięcia nieporozumień, proszę wszystkie zainteresowane osoby, aby wszelkie żądania i przesyłki pieniężne dotyczące **Fotografii „Dzwonka Częstochowskiego“** raczyły nadsyłać tylko pod adresem: ksiądz Józef Adamczyk, a nie pod żadnym innym.

ks. Józef Adamczyk,

Redaktor „Dzwonka Częstochowskiego“.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wszystkim Szanownym Prenumeratorom i Przyjaciołom „Dzwonka Częstochowskiego“ za życzenia przysłane z okazyi świąt Zmartwychwstania Pańskiego ślemy najserdeczniejsze podziękowanie i wzajemne życzenia wszelkiej pomyślności.

REDAKCYA.

Panu Janowi B. w Płocku. Za przesyłkę premium wraz z opakowaniem należy się kop. 30. Można nadesłać markami.

Sz. Pani T. Dziew. Tom grudniowy wysłaliśmy powtórnie. Prenumerata za r. 1907 opłacona.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.





Redaktor i Właściciel ks. **JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.